



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KWIATY ZIMOWE.

Młodość jest jak wiosna. Natura każe jej zdołać się w kwiaty i musi też je mieć, stroić się barwnie, mienić wszystkimi kolorami tęczy uczuć pod karą wydziedziczenia z tego, co jest ludzkiego życia pięknością i wdziękiem — przeznaczonym mu skarbem. Jak niema — prócz pustyni Saharze podobnych, takiego kawałka ziemi, na którymby w porze wiosennej nie zieleń się, nie kwitnęło nic, tak niema istoty ludzkiej, wyjąwszy z twardego, ciężkiego głazu bezmyślności i martwoty ducha wyciosanej, którejby uczucie, myśl, fantazyja wyobraźni nie dała pojąć na szczęście, na upiększenie życia, kwiatka jakiegos.

Pierwszym, który przebudza do życia ciepło uczuć, jest ten fioletek serca, wschodzący w piersi młodziuchnej o wiosennem zaraniu życia: miłość dziecka do matki, do rodziców. Przyjdą następnie kwiaty wspanialsze, wysokopienne, krasą żywych barw zdobne, ale żaden — żaden nie będzie miał woni wdzięczniejszej. Co tu słodczy, w tem przytuleniu się istotki jeszcze słabiuchnej — jeszcze w osobistości własnej niepojmującej się dzieciny do piersi macierzyńskiej! Wszystkie jej trwogi, zale, pragnienia tu się kują i ucisza, matkę kocha się też tem uczuciem, które niema w życiu powtórzenia. Człowiek dojrzały, po przejściu niejednej burzy uczucia, namietności, przypominając sobie, jak kochał matkę, jak po każde złagodzenie doznanego bólu, po każde zasłonięcie przed tem, co groziło cierpieniem, do niej śpieszył — jak stawał się spokojnym i uciszonym w sobie przy jej sercu, doznaje roztkli-

wienia, niedającego się określić, niedającego się wyrazić przez słowa.

Życie, którego wiosna nie posiadała tego wdzięcznego fioletka uczuć, pozostanie nazawsze przez pewne strony swoje niepełnem, bo serce nie napoiło się słodyczą miłości w porze pierwszego rozkwitania, co niezmiernie — niezmiernie wiele znaczy dla przyszłości, bo stanowi niemal o jej nagięciu.

W sierotach, w dzieciach niekochanych, wyrabia się często nieśmiałość, smętność, brak pewności siebie, która z niemi w życie idzie i wyciska na niem piętno swoje; gdy duchy harde przepajają się w położeniu takim zalem gorzkim i dziecko samolubne może stwardnieć w egoizmie swoim, zaciąć się nim posepnie, jak w twierdzy, z której potem już nic nie wywiedzie człowieka, gdy tklliwość poświęconej miłości macierzyńskiej kruszy niejednokrotnie skorupę egoizmu i do serca się dostawszy, wzrusza je, zanim przez wiek stężeje. Matka przez miłość swoją uczy dziecko kochać i co to za słodka a wielkiego — wielkiego znaczenia lekcyja! Człowiek nie zapomina jej nigdy i fioletek uczucia, który uniósł ze sobą w wir spraw życia ma nad niem, przez aromat swój słodki moc, niedającą się nieraz na pierwszy rzut myśli zrozumieć.

Wpływ młodościowych wspomnień ma nad sercami ludzi moc, która idzie z niemi w życie; a jakżeż to wiele, wiele znaczy: pamiętać w wieku dojrzałym młodość swoją — jej pożądania i nadzieje, wiary i obietnice. Niezapominajki to są zebrane — kwiaty z miodową wonią słodką, która nieraz tak upaja, że wracają nam utracone wśród starć życia zapęły i porywy, pragnienia i tęsknoty za pięknem i dobrem, które niegdyś żyło w piersi naszej w szczęśliwych, czystych dniach młodości. Trzeba też o tej porze wdzięcznej — o ciepłej wiosnie życia nasienia ich w grunt istnienia swego siać, aby je potem posiadać na pociechę, a nieraz i na poparcie życia, któ-

re wiek odziera z wielu bogactw serca. Zrywa się czasem pierwszy rozwinięty kwiat niezapominajki, aby go komuś na pamiątkę po nas dać, czasem dostaje się kwiat taki od kogoś, i źle jest, gdy się go dobrze pod serce nie schowa — gdy nieuważnie gubi się po drodze kwiaty pamięci, bo nic cięższego nad istnienie, które nie wyniosło sobie z życia wspomnień wdzięcznych, nie zebrało ich sobie na serdeczny majątek jesieni. Niezapominajki pocziwych chęci i świętych zapalów cnoty, niezapominajki uczuć stałych, obietnic wiernie dotrzymanych sobie i tym, z któremiśmy je zbierali: to skarb wielki — i można nawet kupić sobie za niego coś, jak szczęście. Niechże więc przy rwaniu tych kwiatów wiosennych nie zapomina się o tem, że pamięć, która minione chwile życia nam wraca — niezapominajka, wtedy tylko drogim klejnotem życia się staje, jeżeli nie prze-niewierzylimy się obietnicom, czynionym czy sobie, czy komuś, przy jej wzięciu lub daniu.

Zapomnieć, to na zagładę wydać tę część duszy swojej, która wtedy w nas działała. Może też jest złej człowiekowi zapomnianym zostać, niż samemu zapomnieć, bo wtedy na drodze życia naszego wyrasta parząca pokrzywa wyrzutów sumienia — uczucie z boleśnią raniącym kolcem ostu, żeśmy nie dotrzymali komuś wiary, żeśmy kogoś przyprawili o stratę zmarnowanego zaufania — o zgubę wielką kwiatu, którego nasienie zostało przez człowieka z raju przyniesione.

Trzeba po drodze życia niezapominajki rwać, aby pustka w pamięci nie stała się i pustką w sercu, nie dręczyła nas ciężkiem — najcięższem może na świecie uczuciem próżni. — „Warto płacąc krwią i bólem wejść w krainę ideału!“ woła poeta — i prawdą to jest, prawdą wiekuiście niezmienną, prawdą dla każdego niemal serca ludzkiego. Trzeba sobie coś zdobyć, coś kupić, co ma w pamięci naszej, w uczuciu naszym żyć słodko po wiek naszego trwania na ziemi, choćby to miało nawet być za cenę boleści nabytem. Nic

nie mieć żadnej niezapominajki wśród życia nie uczynąć... to dopiero cierpienie, to los pożałowania godny! Ta chwila, w której się ręka nasza po ów, choćby zawodny i zwiędnięć w niej mający, kwiat wyciągała — ta chwila, w której go rwała sobie, już była chwila szczęścia, bo chwilą wiary w szczęście, szczęścia nadzieją.

Pamięć o niej zostaje człowiekowi — pamięć o niej jest już niezapominajką, czasem bardzo drogą. W uczuciu to jest często największym wziątkiem, to jest szczęściem — co dajemy. Mamy to, co było wtedy daru słodyczą, daru radością — co było wtedy biciem serca i jakgdyby anielskim istoty naszej uskrzydleniem: mamy chwilę radości przeżytej, mamy chwilę wiary w szczęście, i czyż to nie jest już szczęściem, wprawdzie krótko trwałym, ale niemniej szczęściem? Warto, płacać krwią i bólem, wejść w krainę ideału... bo to jest niewiedzącą nigdy nie zapominajką, żeśmy tam byli — żeśmy rozkoszy rajskich uczuć zaznali. Życie było dla tych tylko macochą, a nie matką, ten jest tylko zupełną po szczęściu sierotą, kto nie miał tego nawet — nawet tej niezapominajki, z wonią najśladczą może, nie zerwał sobie i z życia nie uniósł.

Jest kwiat jeden niewymownie wdzięczny, rozwijający się majowym porankiem: powój złodygą powiewnie giętą, która pnie się wysoko, girlandy festonów swoich po krzewach i gałęziach drzew rozwiesza i stroi je powabnie, zakwitając różnobarwnymi kielichami. Są powoje z kwiatem śnieżnym, i te zdają się przeznaczone, aby owijały się koło kolumn świątyni, koło drzew takich jak palmy, ale są powoje różowe i niebieskie, a te niech wieszają się po gałęziach drzew sadów wiejskich i krzewin, które koło chat i drewnianych dworów rosną, niech rozrzucają po nich wieńce swoje, niech choć okno, przez które młodość na świat wygląda, zielenią swoją otacza: a co uroku nam przybędzie, co ślicznych obrazków dla oka się stworzy! Powój to fantazyja poetyczna. Młodość ją ma — młodość ją mieć powinna pod karą życia ciężko, nudnie, prozaicznie wiedzonego. Ileż widzę młodość znudzoną, młodość, która tylko samą siebie kocha, młodość z wadami starości: skąpa, wyrachowana, drobiazgową, w wygodach się kochającą — młodość, która nie umie śmiać się srebrzyście i zapłakać gorzko (ale nie samolubnie) tonącą lichem w gałgankach, i która nigdy nie marzy, nie zdobywa się ukradkiem na sen o zaklętej królownie i zaklętym królewiczu — zawsze pewną jestem, że nie ma tu tej fantazyi, któraby rozwijała skrzydła — choćby gołębie, jeżeli nie mogą być orle, i unosiła na nich czasem młodego ducha. Nie będzie to żadną szkodą dla życia, dla jego przyszłości, lecz przeciwnie będzie to życiu pomocą, gdy zamieszka w nas wyobraźnia żywa i podniosła — powój, który się pnie. Człowiek bez składania rymów staje się wtedy choć trochę poetą i podnosi się nad różne nędze życia: nie załamie rąk nad brakiem sukni, skoro go jakaś inna już okrywa i wie, że salon, choćby najrozleglejszy i najparadniej zdobny, jest zawsze przestrzenią zamkniętą i tak ciasną, że nie można bez szkody dla istoty naszej wewnętrznej mieszkać w nim ciałem i duszą. Posiadać swój krzaczek powoju to szczęście i powiedziałabym — cnota, bo wszystkim cnotom człowieka pomoc dana. Życie przelewa się wtedy choć trochę przez brzegi codziennego, w powszedniości tonącego istnienia. Ma ono — to życie powszednie, tak prace jak i cnoty swoje, bynajmniej nie małe, i poważnego w życiu znaczenia, ale nie mogą one bez szkody dla ducha, bez użycia dla istoty naszej, bez zaprzeczenia bardzo wielkim — najwyższym człowieka cnotom, pochłoniąć go całkowicie. W górę wybiegać myślą, w górę wybiegać czasem fantazyą — piąć się choć trochę, choć trochę do nieba się przez to zbliżyć — to niezbędna dla człowieka potrzeba, bo wtedy zdoła on stwarzać dla chęci swych i pragnień cele szlachetne, wtedy jedynie wielki tak w nie — w te cele dobre, uczciwe — pożądanego swego, że się już ku niskim i nędznym nie skłoni. Kobieta, obracająca się przeważnie w zamkniętym kole prac i obowiązków domowych, do których przecież nie przez pewien układ społeczny — kontrakt socjalny, ale przez naturę rzeczy, przez naturę położenia życiowych, jest przeznaczoną, ko-

bieta musi pod karą zdegradowania się do niższego chóru ludzkości, chodować sobie krzaczek jakiś powoju. Kwiat to wiosenny, i ona młodo, młodo potrzebuje go sobie na pomoc życiu w życia tego ogrodzie zasadzić.

(Dokończenie nastąpi).

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

VII.

Salto mortale.

Stylizacja depezy, wzywającej do powrotu bez zwłoki, była tak dwuznaczną, a groźną katastrofą tak niespodziewaną, że w pierwszej chwili nie zaniepokoiła nawet młodego reprezentanta firmy.

Przypuszczał, iż obecności jego wymagają interesa jakieś ważne, które potrzeba rozstrzygnąć za jego zgodą, ale nawet mu na myśl nie przyszło, aby ta wieść była wieścią hiobową.

Z pewną niechęcią zmiażdżił telegram i rzucił go na stół ze słowami:

— Cóż te bałwany, nie mogą sobie dać rady beze mnie!.. dwóch tygodni spokojnie wytechną minie dadzą. Słyszałaś? — zwrócił się do żony — telegrafuj, abym wracał natychmiast!..

— Dlaczego?.. czy broń Boże, nie zachorował kto? — zerwała się pani Wanda z bijącym sercem i przestraszem w oczach — może dzieci?.. może ojciec?..

— Ale gdzież tam! — całkiem co innego, jakieś fabryczne interesa, skoro telegrafuje Figner. Zapewne o cukrowni chodzi.

— Jesteś pewny tego?..

— Przecież widzisz.. Co to za osły, żeby nie mieć głowy beze mnie! Mają tam Grzysieckiego do porady w każdej chwili!

Zdawało mu się, że jest na prawdę najgłośniejszą osi w tej całej machynie, robiącej — jak powiadała — miliony w przyspieszonym tempie, i że na jego głowie opierają się wszystkie interesa firmy, wszystkie przedsięwzięcia, w których w gruncie rzeczy tylko jego kapitały odgrywały najważniejszą rolę.

Łudził się, że jest sternikiem tej ładowej, kupieckiej fregaty, którą wyprowadził na pełne morze z rozwiniętymi żaglami, i że nią kieruje z świadomością doświadczonego marynarza: a tymczasem statek jego płynął tylko pomyślnym wiatrem gnany czas jakiś, dopóki nie natrafił niespodzianie na podwodne rafa i nie zaczął pędzić naoslep ku mieliznom.

Unosił go prąd ze wzrastającą szybkością, więc płynął, nie widząc przed sobą zdradliwych wirów, jak płynie żeglarz bez bussoli, wierzący w swoją szczęśliwą gwiazdę i niemysłujący o niebezpieczeństwie rozbicia.

Drugi telegram, z podpisem Krzysia, i trzeci, wysłany przez Grzysieckiego następnego dnia, jako odpowiedź na zapytanie: o co chodzi? — rozjaśnił nieco sprawę, a właściwie zachmurzył nagle horyzont lakoniczną wiadomością o spadnięciu cen i spodziewanych stratach na cukrze.

Wszystko to jednak nie dawało Karolowi pojęcia o doniosłości sprawy, ani o niebezpiecznej sytuacji, którą miał zastać po powrocie.

Przecucia nie ostrzegały o niczem. Wracał poirytowany na niezaradność swoich pełnomocników i zastępców, układał sobie nawet burę, jaką

miał wypalić każdemu z nich za ten alarm tak gwałtowny, którym go zapewne najniepotrzebniej ściągano przed czasem z zagranicy, ale miał to jakieś nieokreślone, niewiadomo na czym ugruntowane przekonanie, że „te ciemięgi potraciły głowy i bez jego pomocy obejść się nie mogą“.

Dobre rozumienie o sobie utrzymywało go w moralnej równowadze.

Miał nawet chwile, w których mu pochlebiali to, iż sobie tak bez niego radzić nie potrafia, czuł się w pełnej godności szefa i pryncypała wielkich przedsiębiorstw, kontent, że się może uskarżać:

— Wszystko, wszystko na mojej głowie! czego sam nie udźwignę, tego mi nikt udźwignąć nie pomoże. Ani chwili wytchnienia!..

Zdawało mu się, że przeciążony jest pracą i ugina się pod ciężarem obowiązków, które wielka fortuna na niego nakłada.

Wśród ważniejszych powodów irytacji z tak nagłego powrotu psuły mu humor i mniejsze przyczyny prywatnej natury, tem bardziej, że ukrywać je musiał i przyznać się do nich nie śmiał przed siostrą i przed żoną, — zwłaszcza przed nią.

Trudno-bo było powiedzieć pani Wandzie, że jeśli mu tak bardzo zależało na tem, aby w Bruxelli pozostać jeszcze dni kilka, to jedynie dla tego, iż jeden z jubilerów nie zdążył wykończyć fantazyjnego garnituru z fałszywych brylantów i kamieni, o które prosiła go Wila przed wyjazdem; chciała mieć te świecidlą do kostiumu w nowej roli i bardzo szczegółowo spisała mu własną ręką dyspozycje w jego notesiku, oświadczając gotowość... zwrócenia mu wszystkich kosztów, jakie ten komis pociągnie za sobą.

Przyrzekł jej, że będzie zadowolona; układał nawet sam z jubilerem rysunek gwiazd do złotego pasa i naszyjnik z dziwacznych skarabeów i wisiorów, miał to wszystko przywieźć i obiecywał sobie, że wzamian otrzyma podziękowanie — tak czule, tak gorące, tak oryginalne...

A tymczasem i robota się spóźniała, i trzeba było wyjechać bez gotowego obstalunku.

Uwzięli się zasypywać go depeżami!.. i dlatego... dlatego, że jakiś tam cukier spada!

Nie wyobrażał sobie, aby to miało być taką straszną katastrofą o trwalszych następstwach.

Pierwszą osobą, która go na dworcu przy wysiadaniu z wagonu powitała, był Grzysiecki.

Pan radca prawny miał minę skwaszoną więcej, niż zwykle; przygryzał wąż z prawej strony, co było u niego objawem pewnej tłumionej irytacji; z paniami przywitał się krótko, ceremonialnie, Karola wszelako wziął od razu pod ramię i już na peronie zaczął z nim szeptać, jakby chciał najspieszniej przygotować swego klienta do czekających nań niespodzianek.

Gorliwość narzeczonego sprowadziła tu i Apicię, z dwoma bukietami w ręku, a z gładkim, powitalnym frazeosem na uśmiechniętych ustach.

Uściskał paluszki Lizy i ramię podał pani Wandzie, która mu zaraz opowiadać zaczęła wszystkie przeprawy swoje na granicy i kłopoty z pakunkami, przeplatając opowiadanie zapytaniami o dzieci, o to, co słychać nowego w mieście, czy nikt ze znajomych nie umarł, czy nie się ciekawego nie stało? i t. p.

Grzysiecki, pomimo spóźnionej pory, wprosił się niby-to na herbatę do Fattów, a właściwie dla odbycia ważnej narady w cztery oczy z Karolem.

— Penie Kerolu — cedził swoim głosem wymuszonym — musimy się porozumieć dziś jeszcze co do ważniejszych spraw; powtarzam peni niestety: *periculum in mora*.

Kiedy się znaleźli sami w cztery oczy, w zamkniętym kantorze, Grzysiecki dla większego bezpieczeństwa rozpoczął rozmowę po francuzku. Obawiał się widocznie, aby służący nie podsłuchiwał pode drzwiami.

Dwie godziny przeszło trwały te tajemnicze narady, które główny powiernik firmy rozpoczął krótko i węzłowato od słów:

— Żle!.. bardzo źle!.. niema czego ukrywać, sytuacja robi się fatalną.

Karol spojrział na niego w milczeniu, wyciekając po tak złowrobnym początku dalszego

ciagu przemowy, ale elokwentny zwykle adwokat, dzisiaj zdawał się być pozbawionym swojej swady. Wytrzymałszy badawcze spojrzenie klienta, po dłuższej chwili rzucił mu przyczynionym, niby obojętnym głosem jeden tylko wyraz:

— Krach!..

I przyciął usta, spuściwszy oczy, jakby się obawiał wrażenia, które tym jednym, krótkim a tak wymownym wyrazem sprawił, ale Karol nie dał się tak łatwo z nóg zwalić.

— Co mecenas przez to rozumiesz? — spytał, jakby urażony raczej, niż zmieszany tą zapowiedzią.

— Powiadam panu, że źle z nami! — odparł z naciskiem i, wydobywszy z kieszeni plik papierów, listów, telegramów i wycinków z gazet, położył je przed Karolem na biurku.

— Przejrzyj pen ostatnie ceduły giełdowe, ostatnie depesze z Petersburga, — rzekł tym samym, zawsze bezdźwięcznym tonem — na całej linii gwałtowna zniżka.

I zaczął szybko szczegół po szczególe objaśniać sytuację, przytaczając liczby i daty, odczytując depesze i korespondencje, które ostatnie trzy dni przyniosły, a z których coraz wyraźniej rozciągał się przed zasluchanym Karolem ogrom kłęski, dotyczącej przemysłu cukrowniczego w całym kraju.

Im dłużej zdawał sprawę ze stanu rzeczy adwokat tem bledszą stawała się twarz Karola, tem bardziej fałdowało mu się czoło zmarszczkami i zwały usta, a oczy utkwione w porozkładane na biurku papiery, biegały niespokojnie za wskazującym palcem mecenasa, który podkreślał pewne liczby i pewne wyrażenia, dla nadania im większego nacisku w swoich wywodach.

— Tak się przedstawia cała sprawa! — zakończył wreszcie Grzysiecki, odetchnawszy ciężko i głęboko, zwalniając przyspieszoną dykcję. — Przyznasz pan, że jest czego być zaniepokojonym, zwłaszcza dla nas. Straty kolosalne i nieuniknione, chyba... chyba po jednej niespodziance przyjdzie jakaś druga i wyratuje wszystkich; ale ta nadzieja jest napewno... matką głupich. Gdyby to w innej chwili nastąpiło, moglibyśmy przetrzymać dziesięciu słabszych. Buraków dałby sobie radę, ale to nieszczęście, że takie przejście spotyka nas teraz właśnie, bezpośrednio niemal po nabyciu pańskiego udziału, po wyczerpaniu wszelkiej gotówki i zaangażowaniu się w inne interesy. To właśnie komplikuje sprawę, penie Fatt, i teraz trzeba bardzo głową kręcić, aby do reszty sprawy nie pokpić...

Karol za całą odpowiedź odchrząknął tylko; w gardle poczuł piekącą suchotę, nalał sobie trochę wody z syfonu i wypił; ręka mu drżała, że aż szklanka o zęby zadzwoniła.

— Widzi pen, penie Fatt — mówił dalej Grzysiecki — z interessami, to jak z mąką; aby mieć z niej ciasto na chleb, trzeba odpowiednią ilością wody ją rozrobić; jeśli wody zamało, ciasta się nie ugniecie i chleba nie upiecze, a często mąkę zmarnuje. Tą wodą jest kapitał... Pen, penie Fatt, miałeś jedną wadę, — daruj pen, że w tej chwili ją penu wytkam, ale to nie po raz pierwszy czynię, — pen za dużo mąki nabierałeś, a za mało wody miałeś do rozczyntu. Ja przestrzegałem, prawda?... oto teraz są skutki tego. Wiatr nam dmuchnie w mąkę i ciasta nie będzie. Trzeba by większym kapitałem zasilić przedsiębiorstwa chwilowo zachwiane, kryzys przetrzymać... a tu...

Urwał, zakłopotany, jakby szanując drażliwość swojego klienta w takiej chwili ciężkiej i decydującej; musiał uznać, że nie była to pora na morały.

— Mojem zdaniem — zaczął z innego tonu — pozostają teraz tylko dwa środki ratunku: dolać wody, albo ująć mąki. Chcę powiedzieć wyraźniej: postarać się o nową gotówkę, co, niestety, nie będzie rzeczą tak łatwą w obecnych warunkach, albo zlikwidować pewną część interesów, aby się ustrzedz większych strat.

Na wspomnienie likwidacji Karol rzucił się na fotelu, jakgdyby go rozpalonym drutem dotknięto.

— Jest jeszcze trzeci środek — rzekł głosem zlekka ochrypniętym.

— Jaki?..

— Skorzystać z kredytu.

Adwokat skrzywił się i sceptycznie wydał dolną wargę.

— Nie wiem, czy to środek pewny — odparł po chwilowym namyśle — brnąć w długi nowe, aby niemi stare usuwać, to rzecz niebezpieczna, a zresztą...

Znowu nie dokończył; zapatrzył się w swój brylantowy sygnet na małym palcu i umilkł.

— Zresztą — dodał po dłuższym przestanku — o tem pomówimy jutro, penie Fatt. Dzisiaj powinieś pan wypocząć po tylu nieprzyjemnych wiadomościach i zebrać myśli. Cóż robić, drogi penie: w interessach trzeba być przygotowanym na takie rzeczy, tem bardziej, gdy one nie spadają na jednego, ale na ogół. Żyjemy w fatalnych ekonomicznych czasach! — zakończył sentencyjnie. — Pamiętaj pen, penie Fatt, że burza łamie tylko słabe drzewa, a mocne zaledwie zgina. Jutro rano oczekiwać będę peny u siebie... *Nuit porte conseil*, więc zobaczymy, co należy postanowić.

Podał mu rękę na pożegnanie, ale w tym ruchu była jakaś sztywna officialność, jakiś chłód lekarza, który podaje po konsultacji dłoń do uścisku pacjentowi z nieuleczalną chorobą.

Widocznie z obrachunku *activów* i *passiwów* firmy, której prawną służył poradą, przewidywał już w blizkiej przyszłości fatalne *minus*, i ono-to przestrajało dotychczasowy stosunek pana Grzysieckiego do „pena Fatta“.

Z tonącego okrętu pierwszy szczur upatrzył drogę wymknięcia się przed katastrofą.

Po wyjściu adwokata Karol powrócił do biurka, na którem pozostały rozłożone papiery, i zaczął je machylnie przeglądać po raz dziesiąty.

Tych kilka marnych świstków, zapisanych niebieskim ołówkiem lub zblakłym atramentem po kopiowaniu, kilka cyfr podkreślonych paznogciem Grzysieckiego w rubrykach giełdowej ceduły, stanowiło o losach całego przedsięwzięcia, w którym umieszczone były krocie, a które według prozaicznego porównania pana adwokata, rozwiać się mogło, rozsypać, jak mąka pod dmuchnięciem wiatru, co zapowiadał nadciągająca burza.

Ewentualność przewidywanej katastrofy, która tak nagle stanęła przed oczyma Karola po rozmowie z Grzysieckim, sprawiła na nim wrażenie oslepiającej błyskawicy; zdawało mu się chwilami, że wzrok utracił, że każda komórka w jego mózgu drętwieje i zamiera, a potem rozpęka nagle pod natłokiem krwi, uderzającej mu do głowy.

Siedział w fotelu przybity, zgarbiony, z głową naprzd pochyloną, jakby z największym wysiłkiem próbował odcyfrowywać zapisane kartki rozłożone na biurku; powoli zaczęły przed nim wirować rozmaite przedmioty, poruszać się, dwoić i troić w oczach, przeskakiwać z miejsca na miejsce; zdawało mu się, że duży kałamarz brązowy unosi się w powietrzu i posuwa po ścianie, na której fantastyczne gryfy i potwory wśród egzotycznych kwiatów wytłaczanego obicia ożyły i jakimś mechanicznym, jednostajnym ruchem migotają, niby kłęb gadzin i robaków w olbrzymim rojowisku...

Płomień gazu, przeświecający przez mleczny kłosek nad jego biurkiem, nabierał rdzawo-czerwonej barwy rozżarzonych węgli w gasnącej lampie elektrycznej.

Chwilami ogarniała go ciemność głęboka, kiedy instynktownie zapuszczał znużone powieki, jakgdyby zapadał w sen ze znużenia, a gdy wielkim wysiłkiem otwierał nagle oczy, rozjaśniało się znowu wszystko i wracało nieruchomo na swoje miejsce, dopóki hallucynacje wytężonego wzroku nie wywołały powtórnie owych chorobliwych widzeń na jawie...

W głuchej ciszy gabinetu siedział sam, bez ruchu, z porwanymi myślami, które płały mu się w rozgorączkowanej głowie, opadały rojem i odlatywały, pozostawiając mu w mózgu jakąś przykrą nad wyraz i dręczącą pustkę.

Oszołomiony był i prawie nieprzytomny.

Od czasu do czasu budził się w jego pamięci jakiś oderwany wyraz z długiej dyssertacji Grzysieckiego, której przez dwie godziny słuchał

z uwagą, i wtedy zdawało mu się, że słyszy znów cedzony powoli, przesadnie, z naciskami głos adwokata; potem zapadała cisza nocy w tym wytwornym gabinecie, a z nią wracała przytomność i utracona samowiedza w umyśle Karola.

Czuł, że mu się robi nieźnośnie duszno i gorąco, że omdlewa; ręką sięgnął do guzika od elektrycznego dzwonka, ale zatrzymał ją, nie dotykając go wcale..!

Przypominał sobie, gdzie się znajduje, w jakim stanie; nie chciał alarmować służby, nie chciał sprowadzać żadnego świadka tej chwili tak strasznej i upokarzającej go we własnych oczach.

Próbował wstać z fotelu, ale nogi ciążyły mu, jak ołów...

Zebrał wszystkie siły i przysunął się z nim razem ku oknu, potem czepiając się framugi, wstał, drżącą febrycznie ręką szarpnął okiennice i otworzył całe okno.

Szeroką falą buchnęło przez nie orzeźwiające, ochłodzone nocą powietrze z ulicy.

Karol oprzytomniał w samą porę; kilka chwil dłużej, a byłby może padł bez zmysłów z mózgiem zalany krwią, która mu tętniła gwałtownie w skroniach i naciskała czaszkę.

Oparł się o framugę i dyszał ciężko.

Na ulicy było pusto, wzdłuż chodników migotały gazowe latarnie, rzucając kręgi światła na bruk i na ściany kamienic, ponad którymi ciemnoszafirowe niebo, nabijane srebrnymi gwiazdami, rozpościerało się jak baldachim.

Po przeciwej stronie, oparty plecami o mur, drzemał z okutą łaską w rękę stróż nocny, a zbudzony brzękiem otwieranego okna, podniósł głowę leniwo, spojrzał zaspanymi oczyma i, spostrzegłszy światło w kantorze a człowieka w otwartym oknie, postąpił ciężkim krokiem na środek ulicy, aby mu się bliżej przypatrzeć.

Podszedł potem pod samo okno i badawczo spoglądał w nie, zdziwiony widokiem Fatta, jakby sobie nie umiał wytłómaczyć jego obecności o tak spóźnionej porze.

Uspokojony jednak, że nie ma do czynienia ze złodziejem nocnym, uchylił w milczeniu czapki i odszedł, stukając głośno łaską o bruk na znak swojej czujności, o której wszelako nie najlepiej świadczyło jednocześnie szerokie jego ziewanie.

Karol, do reszty oprzytomniały tym stukiem, cofnął się w głąb pokoju, przetarł oczy, jak człowiek z ciężkiego snu wyrwany, i zaczął chodzić po swoim gabinecie.

Wracały mu z odzyskaną przytomnością siły i większy ład we wzburzonych myślach.

Odgłos kroków z ulicy dochodził z falą świeżego powietrza przez szeroko otwarte okno; poszedł i zamknął je szybko. Przezorność kazała mu to uczynić, aby niepotrzebnie nie zwracał uwagi światłem w kantorze i nie dał się podglądać przechodniom.

— Nie trzeba dawać pozorów, — mówił sobie i zasunął napowrót okiennice.

Zebrał z biurka porozkładane papiery i schował je do szuflady, potem usiadł znowu na fotelu, zapalił papierosa machylnie i myślał.

Twarz jego miała ponury wyraz zadumy i zmęczenia.

Po forsownej podróży pośpiesznym pociągami czuł się fizycznie znużonym, rozmowa z Grzysieckim naprężyła jego nerwy i wzburzyła cały organizm; sen jednak go nie morzył. Czuł, że potrzebuje wypoczynku, a nie potrafiłby oka zmrzyć. Miał wrażenie człowieka, zapadającego raz po raz w drzemkę a budzonego nieustannie.

Budziły go tak własne myśli.

Oswoiwszy się nieco z fatalnem położeniem, które do ostatniej chwili wydawało mu się nieprawdopodobnem, próbował układać plan ratunku.

— Co dalej? — pytał sam siebie — jestem zachwiany, jeżeli jutro nie polepszą się warunki. Wszystkich strat z Burakówka dziś jeszcze obliczyć nie podobna... W tych wypadkach jedno złe trzyma się drugiego, jak rak raka... Co dalej?..

To pytanie narzucało mu się uparcie i przesładowało go nieustannie.

Widział, że zbyt ufając powodzeniu, posprzęgał zanadto swoje interesa i popłatał je, jak siatkę, w której, gdy jedno oczko pękło, rozerwane niespodzianie, wszystkie inne, nie ocalone przed czasem, spruły się mogły.

La grande vitesse mściła się na nim, jak Nemezis, wyzywana zbyt śmiało.

Tosamo uczucie, tylko nieskończenie spotęgowane, które po samobójstwie Jańskiego przynębiło go moralnie, poraż wtóry zbudziło się w nim w tej chwili—uczucie jakiegoś wstydu i upokorzenia z powodu doznanych niepowodzeń.

Zdawało mu się, że zniósłby nawet całą ruinę z poświęceniem i rezygnacją stoika, gdyby nie potrzebował jej odsłaniać przed światem i mógł taksamo ukryć jej ślady, jak ukrył likwidacyą poręczonych weksli Jańskiego.

Ale przystać się do porażki, upaść publicznie, w oczach całego przemysłowego świata... zbankrutować!..

Ten wyraz sprawiał mu najboleśniejszą męczarnię.

— Nie, to niepodobna,—mówił sobie— ja śnię, to niemożliwe. Kto śmiał wymówić przy mnie wyraz: bankructwo!... Fattowie nie bankrutują.

W tej chwili przyszedł mu na myśl jego „stary“, i cała rozmowa, jaką z sobą po śmierci Jańskiego prowadzili.

— I ty przecież obracasz cudzemi kapitałami! masz w ręku posag Lizy, część Krzysia, majątek żony, nasze dożywocie!..

Przypomniały mu się te słowa i świeża fala ukropu uderzyła mu do głowy.

Miałoby to być prawdą, straszną, okropną, niewymowną prawdą, że go dziś jutro pochłonie wir, ku któremu pędził zaślepiony?... I dlaczego? dlatego tylko, że z fundamentów jego fortuny usunął się jeden kamień? miałaby się dla tego pochylić cała budowa, legnąć w gruzach?... Ależ nie, nie, i jeszcze raz nie!... tak być nie może.

Zerwie się, jak Samson i podeprze plecami ten mur zarysowany, zrobi coś, czego na razie sam określić jeszcze nie umie, ale co mu wpadnie do głowy jutro przy naradzie z Grzysieckim, po zbadaniu dokładniejszem sytuacji; wynajdzie coś takiego, co będzie genialnym pomysłem i uratuje go od zguby.

Tak, na pewno, inaczej być nie może, bo gdyby było inaczej!..

Zimny pot wystąpił mu na czoło; nigdy takiego chłodu w żyłach i takiego dreszczu nie czuł w życiu, jak teraz pod wrażeniem tej potwornej myśli, która przerwała mu nagle całe pasmo rozumowań.

Gdyby jednak było inaczej!..

Ale nie, to niepodobna. Słabe drzewa łamie burza, mocne zgina jedynie ku ziemi—tak przecież na odchodnym powiedział mu Grzysiecki.

Byle się nie poddawać, byle krwi zimnej i rozwagi nie tracić i zachować ten spokój, a choćby tylko jego maskę na twarzy, jaką miał dotychczas.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXX.

Komedia do wspólki, krotoczwila w 3-ach aktach, *Maryana Jasieńczyka i Wincentego Kosiakiewicza*—przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Nowym.

Rzecz dzieje się w mieście prowincjonalnem. P. Jan Pachnidłowski, z professyi mydlarz, i p. Piórkowski, z professyi kancelista, pogłupieli na starość i piszą komedię do wspólki. Robota im nie idzie, choć się jej z takim zapalem oddali, że pierwszy zapomina zupełnie o mydle, a drugi niewątpliwie dostaje—tylko za sceną—mydło od swego zwierzeznika, burmistrza. Przez całe dwa

akty piszą, zamykają się, spierają, godzą i znowu piszą, fetują miejscowego literata od śniadań, ściągają na siebie podejrzenia i gniewy, nawet bardzo dotkliwie—zamknięci, odrębani od świata, niewiedzący o niczem, co się wkoło nich dzieje, wciąż piszą a piszą. Robota nie idzie; nawet na tytuł jeszcze zgody niema. Szczęściem, że w mieście mieszka ów literat, który za trzy kieliszki starki, poledwicie i porter angielski daje sławnym komedyopisarzom tytuł, przekonywając ich, że kto ma tytuł, ma już połowę utworu, a nawet w pomyślnych wypadkach, cały utwór. Puste głowy idyotów -- nie im więcej dać nie mogą, prócz nadzwyczaj dziecinnego początku, przypominającego wchodzenie Gustawa przez okno. Korzysta z tego początku kuzynek p. Pachnidłowskiego, młody sowizdrzał, Karol, robi sobie uciechę bezinteresowną, wciska się do wspólki, i przepisywane na małych świstkach *Śluby* dyktuje dwóm głupcom, udając przytem oryginalne twórczenie w sposób tak zdumiewający swą doskonałością, że starzy, nietylko postępu nie spostrzegają, ale co więcej, wierzą w to, iż napisali komedię najzupełniej oryginalną i wątpią tylko o tem, ile na każdego z nich przypadnie zasługi i sławy. Córka recytuje, jej konkurent recytuje, widz sam nieledwie już recytuje — wiara owych panów wzruszyć się nie da. Dopiero widok drukowanego czarno na białem Fredry kruszy opokę. Odychamy nareszcie.

Taką jest główna wspólka w utworze Maryana Jasieńczyka i p. Kosiakiewicza. Obok niej zawija się składowa i druga, małżeńską. Wolne jej tempo jest skutkiem wolnego też obiegu krwi w żyłach Zygmunta — wielce obiecującego młodzieńca, w którym matka panny stwierdza i dobrą stronę majątkową. Ten Zygmunt, kochając p. Jadwigę Pachnidłowską, oświadczyć się jej nie ma odwagi, i gdyby jego ślamazarności nie zubożyła rezolucyjność samej panny, ukończyłaby się już krotoczwila, a o zapowiedziach nie byłoby jeszcze ani słyhu. Jadwiga korzysta z załatów kancelisty Piórkowskiego i przed Zygmuntem zmyśla, jakoby oświadczyły jego przyjęła. Zygmunt, nie chcąc robić trudności autorom, wierzy, wpada w ton silnie minorowy i panna ma już do tonu majorowego przejście gotowe.

Łatwiej jeszcze rozwiązuje się węzeł zazdrości małżeńskiej, którą nagle rozgorzała pani Urszula Pachnidłowska po 24 latach szczęśliwego pożycia. Wystarczyło jej do tej najstraszliwszej z namiętności ludzkich samo usłyszenie imienia „Aniele“, które wespół z bohaterką komedii przepisały z Fredry nosi jedna z panien sklepowych. Nie silono się na rozwiązanie; nie potrzebowano też i na rozwiązanie się wysilać.

Szczęśliwi ludzie ten Maryan Jasieńczyk i p. Wincenty Kosiakiewicz! Mają wszystko na zawołanie. Pociągną tylko, szarpną—już wyskakuje ręka lub noga. Idzie im wszystko tak łatwo, tak niewypowiedzianie łatwo, a toczy się zawsze gładko, po jaknajdoskonalszej płaszczyźnie. Ludzi i sceny wytrząsają autorowie jakby z rękawa. Mydlarz i kancelista ni z tego, ni z owego uwzięli się na komedię. Ni z tego, ni z owego rozgniewał się mydlarz na kancelistę. Nastroj, skłonność, usposobienie od dawnego czasu—wszystko fraszka, bo krotoczwila ukazuje nam obu głupców już po uwzięciu się na komedyopisarstwo. Gdyby chociaż tyle powołania, ile go potrzeba do pisania komedii na konkurs! Dwaj doskonali idyoci, z ortografią nawet—a cóż popiero z literaturą!—w niezgodzie żyjący, dwa czece zupełnie charakteru, psychologicznie puste wory—szczęśliwym autorom wystarczają na ogniska dramatycznego ruchu. Sam tytuł *Komedia do wspólki* przyszedł niewiadomo jak i kiedy, a jest bardzo dobrym. Zgrabnie też II akt komedii pisanej do wspólki w mieście prowincjonalnem kończy się wraz z drugim aktem komedii, napisanej do wspólki w mieście wielkiem. Łatwości tworzenia dowodzi też i wsadzenie do sztuki nieponia, nazywającego się literatem, ale niemającego w sobie nic z charakterystyki literata, chyba tylko to, że jest za pan brat z „Wiktorkiem“ Sardou. Mógłby on być i mydlarzem i fabrykantem szuwaksu, bo w treści swojej jest tylko nader banalnym żarlikiem, pijakiem i szubrawcem,

a na literata nawet przed takimi ciężkimi osłami, jak mydlarz i kancelista, pozować nie umie.

Nomen omen: Komedia do wspólki nie udała się wspólnie autorskiej. Każdy z autorów, pracując z osobna, lepszą-by krotoczwilę napisał; przynajmniej po p. Karczewskim, autorze *Leny*, można się było czegoś lepszego spodziewać. Wspólka lepiejby się opłacała, gdyby w niej rozdzielono funkcje: gdyby jeden wspólnik pisał, drugi poprawiał; jeden tworzył, drugi krytykował. Tymczasem wiadać, że obaj autorowie jedynie tylko tworzyli, — gdybyż tworzyli! To, co jest, jest tylko *napisane*. Nawet w takich pohulanach, jak świeżo wystawiona w Nowym Teatrze, ludzie powinni być prawdziwymi, powinni swą treścią usprawiedliwiać swą zjawiskowość, — mieć w sobie samych wystarczające przyczyny skutków, które nam autor ma podać jako słowa i czyny osób dramatu. Więcej nawet: bo takie blahostki, takie pianki sceniczne, powinny być stosunkowo lepiej wykończanymi od sztuk poważnych. Powaga ma za sobą—siebie samą: zamiar, myśl, dążność dobrą a wszystkich zajmującą. Ostrze satyry, żądło dowcipu, rozumność założenia, głębokość spostrzeżeń, bystrość rozumu, całe bogactwo dyalektyczne — wszystko to otwarte jest dla komedyopisarza, a zamknięte dla krotoczwilisty, który musi sobie radzić środkami czystego humoru wcielanego w charaktery. A jak w nim samym, tak i w jego ludziach na scenie, siłą rozpędową jest bezwiedna zdolność wynajdywania podobieństw, tam, gdzie właśnie rażą sprzeczności; jest dar wyolbrzymiania małości, naiwnego przeдрzeźniania prawdy życia. Jeżeli krotoczwila nie ma ani jednego charakteru, w którymby taki nastrój ducha się objawiał, — nie jest krotoczwilą; jeżeli przytem ma jeden tylko charakter zrobiony dramatycznie (Jadwiga) — nie może być sztuką dobrą. W tem położeniu znajduje się *Komedia do wspólki*. Nie lepszego o niej powiedzieć nie można nad to, że jest sztuką napisaną przez Maryana Jasieńczyka i Wincentego Kosiakiewicza. Nie dbając o charaktery, autorowie troszczą się za to o śmieszne sytuacje. Ale w sztuce dramatycznej sytuacjami zawsze wybrukowana jest droga do piekła.

Nad poziom nieodpowiadający skromnym nawet wymaganiom krytyki — (nad którą się teraz znęca w Warszawie literatura twórcza)—wzbijają się zaledwie trzy chwile w *Komedii do wspólki*. Dobre są oświadczyły mazgają, dobra indagacja panny sklepowej, dobre nawet wzajemne skkanie sobie do oczu obu panien. Kominiarza obok strażaka w mieście prowincjonalnem, gdzie musiało być mało młynarzy, przebaczyć autorom można. Bawiono się na sztuce dość dobrze, bo pomimo czezości obu starych głupców, sytuacja sama rozśmieszała. Weselości sali teatralnej przecież, żaden autor rozważny nie weźmie za probierz wartości sztuki. Ludzie nigdzie głęśniej się nie śmieją, niż w cyrku.

Za sobotnią wesołość zresztą wdzięczni być powinni autorowie p. Sikorskiemu (Pachnidłowski). Gdyby nie jego znakomita gra, głos przedziwnie urobiony do takich starych naiwnych, dar wchodzenia w rolę,—niezawodnie siła samych tylko sytuacji nie wystarczylaby do wydobycia z widzów tej ilości śmiechu, jaką ich gardła wyrzuciły na salę. P. Trapszówna grała dobrze Jadwigę; ale Fredrę deklamowała z zupełnie niepotrzebnym, złym patosem, przyczem i głos jej nie dopisywał.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Kwietniu 1890 r.

Tegoroczne zebrania rolnicze były bardzo liczne, a odbywały się pod przewodnictwem hra-

biego Marceliego Żółtowskiego. Jednocześnie święcono 25-cioletnią działalność trzech członków zarządu towarzystwa gospodarskiego, a mianowicie: pp. Zygmunta Szuldrzyńskiego, Stanisława Kurnatowskiego i Mieczysława hr. Kwileckiego, składając im życzenia i hołdy w serdecznym adresie i bratniej uczcie, która licznych w Bazarze zgromadziła uczestników. Rozprawy i rozmowy o gospodarstwie rolnem dworsko-wiejskiem toczyły się poważnie a wyczerpująco, nie zstępując w dziedzinę błahych sporów, lecz trzymając się pouczających nauk doświadczenia. Towarzystwo czytelników ludowych najlepsze samo sobie złożyło świadectwo założeniem sześćdziesięciu nowych bibliotek w pierwszym zaraz kwartale bieżącego roku Bank włościański, który tyłu naszych kmiotków ocalił z rąk lichwiarskich, wspaniały przedstawił bilans czynności z XVII roku swego istnienia, wykazując 70 milionów obrotu, co przechodzi obrót zeszłoroczny o całe trzysta milionów. Zysk zaś niemniej poważną przedstawia liczbę 209.473 marek, dywidenda zaś pojedynczych akcyj wynosiła 25 marek czyli $8\frac{1}{3}$ procent, co najlepiej udowadnia pomysłność obecnej administracji i rozwój wielce pożytecznej instytucji.

Wogóle bez chępliwości powiedzieć można, że wszystkie nasze instytucje i związki odznaczają się ładem i skrzętnością, co im zapewnia powodzenie i pobudza do zawiązywania coraz-to nowych towarzystw. Świeżo powstała wśród nas „Gleba“, związek spożywczy rolników sprowadzających hurtownie konieczne dla ulepszonego gospodarstwa przedmioty spożycia, jak: sztuczne nawozy, smarowidła, nasiona, i t. p., bez pośrednictwa domów handlowych. Z tego powodu w pierwszej chwili objawiło się pewne zaniepokojenie wśród naszych kupców; rychło atoli ustalać się zaczęło przekonanie, że nowa spółka żadnego uszczerbku handlowi nie wyrządzi. Sami kupcy nawet teraz już chętnie do niej przystępują. Zakładną powstał świeżo między nami związek zatytułowany „Pomocą“; jest to spółka budowlana, mająca na celu zakupywanie i sprzedawanie domów, oraz budowanie ich i wydzierżawianie. Wspomnieć jeszcze wypada, nieco chępliwie tytułując się „Jutrzenką“, towarzystwo wstrzemięźliwości, zawiązane w zacnej myśli walczenia na każdym polu z alkoholizmem, oraz jego współniczką, zbrodniczą lekkomyślnością marnującą czas, pieniądze i zdrowie. Istnieje wprawdzie oddawna między nami bractwo, które i w Irlandyi i u nas ocaliło krocie od pijaństwa i zaguby. Prąd atoli laicyzacji nie w samej tylko Francyi się objawia—odnaleźć go można wszędzie. „Jutrzenka“ grzeszy tylko przesadą twierdząc, iż dotąd nie u nas w tym kierunku nie robiono i że ona pierwsza dopiero zwiastuje lepszych dni zorzę. Stare bractwo wstrzemięźliwości mogłoby odpowiedzieć liczbami, do których młodej „Jutrzence“ jeszcze daleko. Nie mniej z radością i otuchą witamy jej hasła, jej rozbudzoną gorliwość, jej uczciwe dążności. Pisałem wam przed kilkoma miesiącami, że pijaństwo u nas do pewnego stopnia wśród ludu ustało, a natomiast wzmożło się w klassach oświeconszych, jakoby potrzebą zalewania w sobie robaka, toczącej wszystkie dusze, publicznej troski. Otóż „Jutrzenka“ głównie w tych kołach usiłuje rozszerzyć swą pożyteczną reformę, a jednocześnie odwołuje się i do właścicieli ziemskich, zachęcając ich do zakładania gospód ludowych, gdzieby wszystko znaleźć się mogło oprócz wódki. Podobna próba, w majątkach p. Władysława Łąckiego zrobiona, najświetniejsze już wydała owoce, stwarzając dla włościan rodzaj zabawni (resursy), gdzie znajdują i gazety, i wszelkie możliwe rozrywki, i przekąski i napoje, z wyłączeniem gorących trunków. Powodzenie owej próby zachęca do jej naśladowania i zakładania po innych wioskach podobnych gospód, przechodzących o całe niebo dawne karczmy, które tylko zniżały poziom uczęszczających do nich gości.

Jak tedy widzicie, nie zasypia się tu gruszek w popiele; owszem, spotęgowane życie zda się przejawiać we wszystkich warstwach społeczeństwa. A gdy się wspomni na ciężkie ostatnie lata, na wielorakie ciosy, które w czas godziły,

na przełomy z dziedziny polityki i rolnictwa, które groziły zagładą naszemu społeczeństwu, podziwiać trzeba niejednokrotnie żywotność i hart, oraz chętność, hojność — często szlachetną szczerobliwość. Wszakże na wieść o głodzie w Galicyi posypały się u nas tak chętne jałmużny, iż w mgnieniu oka zebrano na ten cel około 40.000 marek; pokaźna summa urosła przeważnie z groszowych datków ludu. Klęski przyrodzone coraz to w innym kierunku budzą miłosierne zabiegi i ofiarność; wszystkie nasze instytucje utrzymują się prywatnym kosztem i dobrowolnymi datkami; nie dziw, iż sami Niemcy skłaniają się przed obcą im cnotą, podziwiając niewyczerpaną hojność ubogiej społeczności. A hojność ta wiecznie nam stawia przed oczyma legendę, o niewyczerpanych kruszwickich zasobach miodu i maki w piastowym dworze. Im bardziej dzielić się z braćmi, tem też zapasów przybywa. A jednak, mimo nieśmiertelnych obietnic, przywiązanych do chętniej jałmużny, budzą się w nas poważne obawy na przyszłość wobec ruchów robotniczych ogarniających świat cały. Na nie złego się u nas nie zanosi, nowe prądy słabo postępują; ale już przy ostatnich wyborach nawet po miasteczkach zaświadczyły o swem istnieniu.

W każdym razie jakiś niepokój i u nas zaczyna nurtować klasy pracujące, tak w miastach, jak i na wsiach. Rolnictwo, które zaczynało się dźwigać z przełomu rolnego podniesieniem cen ziemiopłodów, znów zagrożone się widzi przez prawdopodobny brak robotnika, coraz śmielsze stawiającego warunki i opuszczającego dotychczasowe stanowiska, aby gonić za urojonym nieraz zyskiem. Niedostatek rąk coraz dotkliwiej w gospodarstwie uczuć się daje. Przymusowa służba wojskowa, dobrowolne wychodźstwo, śpieszenie do Saxonii i Westfalii za większym zarobkiem, literalnie wyludniły nasze sioła z najzdadniejszej do pracy młodzieży. Bywają wszędzie dosłownie pozostały tylko kobiety, starcy i dzieci. A co najdziwniejsza, to gminoruchy robotnicze często innej nie mają przyczyny, jeno chęć zmiany miejsca; bo jakże wytłómaczyć np. fakt, iż od nas idą ludzie na robotę do Ślązka, my zaś zamtąd sprowadzamy najemnika? — co najlepszym dowodem, iż stosunek płacy tu i tam jest mniej więcej jednakim.

Wobec bezmyślnych warunków, które zwiększają jeszcze nędzę robotników, dodatnie wrażenie sprawiają zabiegi u nas podjęte, aby zawczasu przeszkodzić znowom bezrobociu. Pod tym względem najpoważniej u nas odezwał się głos cechu szewskiego w Poznaniu. W spokojnej, pełnej miary i godności odezwie, doczytaliśmy się przerażającego obrazu niedoli i nędzy wynikającej z nadprodukcji. Kilkunastogodzinna praca nad wyraz szczupły przynosi zarobek. Pośrednictwo przekupniów, tak ciężką już pracę, oddające jeszcze w jarzmo lichwy, potęguje jeszcze grozę tych stosunków. Odezwa szewców poznańskich podaje ceny w jakich handlarze nabywają obuwie prywatnie wykonane. Za kamasze męskie z podwójną podeszwą 2 m. 75 fen., z pojedynczą 2 marki 25 fen.; za damskie zaś spilkiwane trzewiki zaledwie 1 markę 40 f. Do tego dodać należy, a raczej odliczyć, podeszwy, obcasy, gwoździe, formy, świlki i t. d. co, choćby w najgorszym gatunku, przewyższa kosztem 1 markę od pary. Ze zaś potrzeba ośmiu godzin do wykonania pary męskiego obuwia, a siedmiu dla damskich trzewików: zostaje tak szczupły zarobek, iż wyżycie niepodobna. Ztąd, ratując się od głodu, ludzie szukają sposobów nabycia tańszego materiału, zbierają po śmieciach stare obuwie, oklejają, nieraz papier kładąc w użytą podeszwę. Oszczędność ta fenigowa, sama w sobie nieuczciwa, nie zapewnia zysków, naraża tylko publiczność mniej zamożną na wydatki zdwojone, a często na choroby, bo kto odgadnie jaki zaród złego tkwić może w starym, znoszonym trzewiku? Wystawiając te oplakane stosunki i ceny, cech szewski w Poznaniu dwustronnie się odzywa: naprzód do ludzi dobrej woli, aby przyczyniali się do ulżenia nędzy powszechnej, kupując wprost u majstrów, nie zaś w hurtownych składach lichwiarzy pracy,

a następnie przemawia i do samych szewców, odradzając im wszelkich zachcianek, nieprowadzących do niczego, jeno do zwiększenia nędzy, kiedy tymczasem prostszą i praktyczniejszą drogą jest gromadzić fakta i liczby i całą sprawę pracy i płacy wnieść przed forum parlamentu, który pod rządami skłaniającego się do zaradzenia społecznym biedom monarchy, tem skwapliwiej podobne kwestye roztrząsać będzie.

Oczywiście, nędza z higieną się nie spotyka, i choć tegoroczna wiosna nie ponowiła zalewów w mieście naszym, przednówek jednak stale zwiększa śmiertelność, skutki zaś influenzy dotychczas się pośród nas odczuć dają, wciąż jeszcze wyrwywając zapóźnione ofiary tej dziwnej a tak uogólnionej epidemii. Przewodniczący sekcji przyrodniczej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, D-r Franciszek Chłapowski, nieustannie nawołuje do wprowadzenia ściślejszych przepisów higieny w prywatne życie i miejskie prawodawstwo. Uderzony wzrostem liczebny suchotników, wśród chrześcijańskiego społeczeństwa, kiedy żydowskie stosunkowo daleko rzadziej płuca ulega słabości, lekarze całego świata, a zwłaszcza angielscy jeli studyować tę kwestyę, i różnicę przypisali moższowym ustawom dotyczącym rzeźnictwa. D-r Chłapowski streścił owe badania w kilku nad wyraz zajmujących odczytach, oraz w drukowanej rozprawce o gruźlicy bydłowej. Pokazuje się, iż tak zwana perłowa choroba rozszerzyła się między bydłem do niebywałych rozmiarów, a zaród złego tkwi, nietylko w mięsie, lecz i w mleku krów zarażonych. Tylko mocnym przegotowaniem zniszczyć można złowrogie mikroby. Upada tedy odrazu dawny systemat leczenia suchotników zapomocą surowego mleka lub mieszkania w oborach; metoda karmienia dzieci mlekiem od jednej tylko krowy zarówno się okazuje niebezpieczną, bo któż odgadnie: azali ta właśnie krowa nie jest chorą, nie nosi w sobie zarodu tuberkułów? Na sto bydła dotkniętych gruźlicą zaledwie w 10 wypadkach można za życia ją rozpoznać, w 90 zaś dopiero po zarznięciu występują dowody choroby. W Berlinie np. podczas jednego tylko roku odrzucono z powodu wyraźnej gruźlicy jedynie 403 sztuk bydła, a rozpoznano ją w 6.127 wypadkach! Przepisy moższowego ustawodawstwa, jak już uchroniły swych wyznawców od „trychinozy“, tak ich zabezpieczają przed gruźlicą wskutek obowiązującego koszeru. Nadzwyczaj ciekawe zestawienia wypełniają broszurkę D-ra Chłapowskiego, który nawołuje do większej w pożywieniu ostrożności, wskazując jak dalece ustawy rzeźnictwa żydowskiego zgadzają się z wymaganiami najnowszych odkryć higieny. Wśród mnóstwa przywiedzionych liczb statystycznych ciekawe są dowodzące spadnięcia procentowego stosunku ludności żydowskiej do chrześcijańskiej w wielkopolskiej stolicy. W przeciągu lat pięćdziesięciu z 20 odsetków ogółu ludności zostało żydów tylko 10%. W całej zaś regencyi poznańskiej stosunek ten, który jeszcze w r. 1816 wynosił pół siódma procentu dziś spadł do trzech. Ostatcznym celem rozpraw D-ra Chłapowskiego jest zaprowadzenie rzeźalni miejskich, pod nadzorem policyjnym, ażeby zapobiedz zatrutowaniu ludności złemi, niezdrowymi gatunkiem mięsa.

Dalszy ciąg *Wędrowek po mieście* ukazał się w trzecim z kolei tomie, nie mniej od poprzednich zajmującym a ocalającym od zapomnienia mnóstwo postaci i szczegółów ustną zaledwie tradycją dotąd przechowywanych. Niewiele stałego plonu otrzymujemy z pólek księgarskich, natomiast fala dziennikarstwa ustawicznie rośnie coraz-to nowymi czasopismami. Ostatniem zpośród nich co do czasu jest powstała na Ślązku *Praca*; nie przesądzać zaś o wartości poszczególnych dzienników lub tygodników, cieszyć się musimy, iż znajdują one wszystkie dość znaczne czytelników szeregi, aby mieć utrzymanie zapewnione.

Wzrost ludności katolickiej, mimo obcego wpływu protestantów, wzmagający się w liczbę każdego roku, wykazał niedostatek kościołów.

Zawiązało się tedy między nami towarzystwo mające na celu restaurację lub budowanie nowych przybytków Bożych. W tej chwili

li wznosi się w Jerzycach, wsi przedmieściowej Poznania, kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca, ze składek dobrowolnych powstający. Jednocześnie podjęto odnowienie najpiękniejszej świątyni poznańskiej, pojezuickiej Fary. Piękność linii wspaniałego kościoła wystąpiła jawniej wskutek przywrócenia im blasku przez oczyszczenie stropów z pyłu i ogólne odświeżenie ścian i sklepień świątyni Św. Maryi Magdaleny.

RUCH MUZYCZNY.

Przez dłuższy czas niezmiennie, stale uczęszcza się na koncertowe popisy wirtuozów, na opery, nie mając czasu z wrażeń ochłonać, aż naraz przychodzi zniechęcenie lub przesyć, lub też pewna nieufność do nowości, do niezbyt znanego imienia, i uczucia te czynem się manifestuje. Artyści tylko, a przede wszystkim sprawozdawcy, nie mają prawa tym chwiejnym prądom woli podlegać, oni zawsze być muszą na stanowisku obserwacyjnym i śledzić wszelki ruch, wszelką nowość w świecie sztuki. Jeżeli niekiedy przymus ten bywa płonny i marnym, w nagrodę rozczarowanie i zawód przynosząc, to znowu czasami wynagradza się stokrotnie nadspodziewanym zadowoleniem artystycznego zmysłu, i wtedy-to tryumfujemy, żałując tych, którzy utracili sposobność zacerpnięcia pięknych wrażeń.

Tak właśnie stało się na koncercie pana Reisenauera, którego gra cenna i świetna, jak diament pierwszej wody, rozbrzmiewała w sali niemal pustej, wobec jedynie prawie tylko szczupłej gromadki interesujących się bliżej muzyką. Pustka niemiła musiała razić wirtuoza, przywykłego zapewne do tłumów wielbicieli; lecz chłód rozwiął się wkrótce pod żarem oklasków, szepcłem zachwytu, co z ust do ust przebiegał, pod siłą tego entuzjazmu, który ogarnął garstkę nielicznych lecz wybranych słuchaczy.

Teraz tylko dla nas trudność nie miała określić rodzaj artysty, gdy już kolledży nasi w codziennych pismach zużyli cały zapas przymiotników, jakimi bogata mowa polska władnie. Zamiast powtarzać, iż pan Reisenauer: jest to kolos, potentat, herkules pod względem siły i techniki a mistrz duchowy pod względem prawdy i szlachetności pojęcia, wolelibyśmy wykreślić się tą prostą zachętą: pójdźcie, usłyszcie! Ale cóż zrobić z nieodzownym pytaniem, które nasi szanowni czytelnicy postawią: jak gra Reisenauer? Proszę pozwolić przynajmniej, że nie wprost nań odpowiemy.

Młodem będąc chłopięciem, mieliśmy sposobność słyszenia króla fortepianu, Liszta. Uroczysta cisza poprzedzała zwykle jego wstąpienie na estradę; wszyscy technicznie wstrzymywali w pierśsiach, gdy zaczynał grać. I płynęły dźwięki miękkie, łagodne jak muskanie wody łabędziem skrzydłem, jakby rzewność harfy odzywającej się z oddali; potem dźwięki te zaczynały wzrastać, męźnieć, potęgować się,—po klawiaturze sypały się, to perły, to grom w nią uderzał, to naraz brzmienia pełnej orkiestry budziły akustyczne echa sali; w szalonym tempie zdawały się wirować te czarne i białe klawisze, palce mistrza nikły z przed oczu, tak niedochwytnymi były ich poruszenia; a przecie słuchacze, jakby im niedość było słuchu, wyteżali wzrok, nie chcąc utracić najmniejszego drgnienia ręki artysty.

Oszołomieni, upojeni, wracaliśmy z koncertu, a po wielu latach, wrażenia nasze, ongi doznane, odtworzyły się dopiero teraz, w tym samym stopniu zachwytu i podziwu, na koncercie Reisenauera, ucznia Liszta. Tyle co do strony technicznej; pod względem duchowym gry, przynajmniej, iż nie odrzucał dalszych się porwać inspiracyom pana Reisenauera, badaliśmy je nawet z pewnym niedowierzaniem, boć zdarza się, że niepospolite, prawie nadmierne, wyrobienie mechanizmu zatra-

ca duchową indywidualność. Jednakże i tu zwyciężył nas wirtuoz. Jeżeli w dziełach klasycznych, jak: Bacha, Mozarta, Beethovena, nie zdaje się być tak wielkim myślicielem, jak Rubinstein, to posiada sposób frazowania i akcentacyą niezaczającą od wszechwładnych praw klasycyzmu. W innych zaś utworach, jak Schumann, Schuberta, Szopena, Liszta—jest interpretatorem nawskroś indywidualnym, a że ręka nigdy go zawieść nie może, przechodzi więc przez wszystkie stopnie odcieni modulacyjnych, od najsubtelniejszego szeptu melodyi do najgwałtowniejszych jej wzburzeń, zarówno wielkie kontury dzieła, jak i drobne szczegóły, rzeźbiąc wyraźnie, jasno w umyśle słuchacza.

Drugi koncert Reisenauera, w Resursie Obywatelskiej, składał się znowu z szeregu dzieł Beethovena, Szopena, Liszta i Schuberta w transskrypcjach lisztowskich; a tym razem tłumna już publiczność nosła artyście hołd zasłużony.

Od tak wspaniałych wrażeń musimy się wszakże oderwać, by z obowiązku przejść do innego działu sztuki, mianowicie na scenę teatralną, gdzie „Aida“, boska, ale starzejąca się od blasku warszawskich kinkietów „Aida“, była znowu polem popisu dla pani Kameńskiej, oraz dla panów d'Antrade i Sillich'a.

Pani Kameńska już nie po raz pierwszy słyszana, potwierdziła w roli Amnerydy dawniej ocenione zalety swego śpiewu. Jest to artystka posiadająca dużo scenicznej dobrej rutyny i skalę głosu dosyć jeszcze zasobną; do ujemnych stron należy brak temperamentu i energii, co czyni, iż partya przez nią oddana, pomimo szlachetnego pojęcia, wyszła zanadto blade. Pan d'Antrade, ani temperamentem odpowiednim, ani głosem, nie może się poszczycić. Śledząc jego rolę Radamesa, częstokroć zadawaliśmy sobie pytanie: czy śpiewa, czy tylko mimiką i prawidłowym otwieraniem ust śpiew naśladuje? Poza tem było wszystko: szykowna postawa, zręczne ruchy, strój wykintny. Ze jednak dla śpiewaka to nie dosyć, poczytujemy więc występ p. d'Antrade za niefortunny. P. Sillich natomiast, odtwarzający w „Aidzie“ rolę arcykapłana, nie zmienił w niczem korzystnego zdania, któreśmy o nim z przedstawienia „Lukrecji Borgii“ wynieśli. Z głosem pięknym, na podstawie dobrej szkoły rozwiniętym, aktor szlachetny, gardzący efektami zbytnej szarży, wyróżnia się stanowczo spośród wielu, wielu śpiewaków, co się w ciągu roku po naszej scenie przesunęli. „Aida“, pani Dowiakowska, rozwinięła przed nami swój starannie w studiowanym śpiewie i akcya inteligentną, umiejacą każdą rolę utrzymać na właściwym stanowisku.—Na następne przedstawienie dano nam „Fausta“, w którym, oprócz pani Kameńskiej i p. Sillich'a, występowali pani Sandra i pan Aleni. Pani Sandra bardzo dobrze uosobiła wdzięczną postać Małgorzaty i inteligentnie wniknęła w duchową stronę swej roli, nie można też zaprzeczyć, że śpiewa starannie i umiennie, lecz głos jej, za słaby na scenę, nie jest zdolnym do górowania nad orkiestrą. P. Aleni, odznaczający się niegdyś ładnym materiałem głosowym, zaczyna go już utracać, po części z powodu wadliwej szkoły, z czego już dawniej czyniliśmy mu poważne zarzuty. Co do p. Kameńskiej, małą rolę swą Siebla nie mogła wpłynąć na zmianę wyrażonego już poprzednio sądu.

Wogóle arcydzieło gunodowskie, tylokrotnie i w rozmaitej obsadzie ról słyszane, uczyniło nas wybrednymi. Wiadoma rzecz, iż nawet znakomitym artystom niezawsze udaje się odtworzyć wiernie te postacie, na które złożyli się: genialny poeta i znakomity muzyk. Tu bowiem i głos i śpiew artystyczny, i temperament, i wyborne pojęcie i trafność charakterystyki, i powierzhowność nawet, zjednoczyć się powinny: a przecie wszystkie te przymioty jest nader trudno ujrzyć zespolone. Nie dziw więc, że powyższy personel nie mógł osiągnąć wysokości zadania. Nawet pan Sillich spotkał w Mefistofelu niebezpieczne dla siebie szkopy, albowiem ze spokojnym i poważnym jego nastrojem nie licuje natura demoniczna, jaką Goethe uzmysłowił. Piękny głos

i wyborna metoda śpiewu nagradzały wszakże niedostatek charakterystycznej siły.

Dwa większe wieczory Towarzystwa Muzycznego wykazały znowu wiele różności w barwnym programie. Przejdziemy je kolejno, od dam rozpoczynając.

Pani Zofia d'Orto, obecnie dopiero przedstawiła się w korzystnym, artystycznym świetle.

Recitativo i Arja z Halki zaśpiewane były ze szczerem uczuciem i pełnią głosu, który pozbył się chwiejności w atakowaniu nut wyższych; pieśni zaś, Schumann'a „Kwiat lotosu“, a jeszcze bardziej Żeleńskiego: „Niepodobieństwo“ odznaczały się subtelną deklamacyą, która objawia wyborne zrozumienie, świadomość tego, do czego się dąży. Nawet kompozytor nasz znany, ze swej wybredności, musiałby być zadowolonym. Dzieła fortepianowe jako to: Sonata Beethovena op. 90. Etiudy symfoniczne Schumann'a, Nokturn Czajkowskiego, Tarentella z „Niemej z Portici“ Aubera-Liszta, oraz dwie kompozycje własne—miały przedstawiciela w panu Pachulskim, który, bardziej jako autor, niżeli jako wykonawca zwrócił tym razem nasze uwagę. Jego „Polonaise“ i „Valse-caprice“ należą do rzędu udatnych, starannie i zgrabnie opracowanych kompozycy. Wokalnego działu dopełnili: pan Miller, śpiewem swoim pełnym werwy, zawsze serdecznie przemawiającym do słuchacza, i p. Dudziński, baryton który, odśpiewaniem arji z „Fausta“ dał nam poznać piękny materiał głosu, ale dopiero—materyał.

Wśród muzycznych zaś numerów wieczoru, znalazł się jeszcze i ładna deklamacya, którą zainteresował słuchaczów p. Chądzyński, uczeń szkoły rozwijającej się w Towarzystwie Muz. pod wytrawnym kierunkiem p. Kotarbińskiego.

Następny większy wieczór Towarzystwa, który przypadł w ostatnim dniu Kwietnia, współzawodniczyć mógł z najświetniejszymi koncertami, jakie się u nas w ciągu sezonów odbyły. Dość powiedzieć, iż bohaterem wieczoru był p. Reisenauer, budzący zachwyt, grom oklasków i okrzyki bisowań wśród tych, którzy go po raz pierwszy słyszeli. Część audytorium, z grą jego już obeznana; lubo powalnie dawała się unosić porywom entuzjazmu, niemniej wszakże utwierdziła się w przekonaniu, że technika olbrzymia i zupełne panowanie nad instrumentem stawiają Reisenauera w rzędzie niepospolitych wirtuozów tej epoki. W duchu jego gry najlepiej też wychodzą kompozycje współczesne, iskrzące się efektami i trudnościami przeładowane; jednak mimo to posiada artysta wolę i dar dostrajania się odpowiednio do tonu innych twórców, przeto hendlowska powaga w Temacie z waraycyami znalazła w nim dobrego przedstawiciela. Liczba wykonanych kompozycy przeniosła prawie w dwojnásob to, co program oznajmiał: tak hojnym i niestrudzonym okazał się wirtuoz wobec naszej nienasyconej publiczności.

Po fortepianie skrzypce dzierżyły prym tego wieczora. Poznaliśmy w panu Taube młodego artystę, który już posiada wiele cennych przymiotów, jako to: wysoko wyrabioną technikę i szlachetne, wielce trafne poczucie; ton jego tylko wydał nam się nieco zasłabym. Najświetniejsze wrażenie wywołał koncert Gmoll Brucha, który p. Taube odegrał przy akompaniamencie Reisenauera, rzadko bowiem zdarza się sposobność słyszeć *ensemble* tak pięknie dobrany.

Chóry Towarzystwa wykonały dwa odznaczone na konkursie utwory E. Pankiewicza: „Noc wiosenna“ i „Pieśń“.

Jeszcze jednym rozgłosnem echem z sal koncertowych musimy zająć uwagę szanownych czytelników. Jestto występ panny Ireny Abendrotówny na koncercie Dyrekcyi Teatrów ze współudziałem naszych artystów.

Młodziutka śpiewaczka, Lwówianka, jest podobno, jak głoszą wieści, primadonną cesarskiej opery w Wiedniu, i wcale byśmy się nie dziwili, gdyby rzeczywiście na tak zaszczytnem znajdowała się stanowisku; natura bowiem obdarzyła ją prześlicznym głosem, a talent wrodzony dozwolił jej w stosunkowo niezmiernie szybkim czasie rozwinąć ów głos w równej i obszernej skali, oraz nabyć giętkości i wysokiego wyrobienia koloratury, które-to zdobycze niekiedy wiele lat pracy wy-

magają. Tylko strona duchowa nie drga jeszcze dość silnie, i dlatego treść i znaczenia wykonywanych kompozycji nie dość głęboko są pomyślane i odczute. W tym względzie sam wiek młodociany usprawiedliwia brak artystycznej skończoności indywidualności, doświadczenia i smaku. Panna Abendroth wykonała arya z op. „Semiramis” Rossiniego, arya z op. „Figaro” Mozarta, arya z op. „Eruali” Rotoli, wariacje z op. „Toreador” Adama i nad program piosenkę Szopena. Szlachetny, sympatyczny śpiew p. Chodakowskiego i daklamacje panny Noiret i p. Kotarbińskiego przyczyniły się do utrzymania miłych wrażeń podczas całego wieczoru.

Juljusz Stattler.

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Dokończenie).

Posuwając się w tym kierunku ku Jaffie Pisma Świętego, którą Pliniusz nazywa miastem przedpotopowym, podróżnik spotyka niezmiernie ciekawe szczątki cywilizacji zaginionej — ślady ludzi, żyjących tu w epoce przedhistorycznej, nie tylko na powierzchni, ale i w głębi ziemi. O parę godzin drogi konnej od Karmelu, gdy płaskie, piaszczyste wybrzeża morskie podnoszą się i wydobywa się na powierzchnię piasków skała, ukazuje się oczom — wał skalisty, przedstawiający na przestrzeni niemal milowej jakoby ul jaskiń, wykutych w głazie twardym, niewątpliwie ręką ludzką. Można by przypuścić, że ma się przed oczyma jakieś grodzisko pierwotne z czasów, gdy człowiek nie zdobył się jeszcze na myśl, na siłę łamania skał, aby budować sobie z nich domy. Jaskinie, których szeregi tu się ciągną, są obszerne, wysokie, wejście do nich jest wysokim również, wiodą do nich wschody o kilku stopniach, a znajdujące się tu również okna, wychodzą, podobnie jak i drzwi, na ulice, długie, prosto wyciągnięte, wykowane w skale głęboko i szerokie o tyle, aby mógł przejechać przez nie wóz. Że wóz przebywał je też niegdyś, świadczą ślady — koleje wybite w skale przez jego koła.

Prnąc się rośliny, kępy mirtów, krzaki figowe wzrastają tu na pokładzie ziemi, utworzonym z naleciałego kurzu i ciągną się wzdłuż tych ulic. Są one powiększej części przebite na wylot, otwarte zatem na morze, którego wody tworzą na tyłach tego podziemnego miasta zatoczkę, i wzrok, patrzący ztąd na fale wodne, ogląda morze z punktu widzenia zupełnie odmiennego, niż gdyby spojrzenie wybiegało z przestrzeni otwartej. Mnóstwo ptaków zamieszkuje to miasto podziemne i gdy podróżnik wkroczy w jego ulice, nieobliczona ilość orłów, sępów, wróbli, wron morskich zrywa się z krzewów, które tu rosną, napełniając te tunele samotne łopotem swych skrzydeł.

Postępując drugą stroną podziemnych owych kurrytarzy, podróżnik znajduje się nagle wobec wielkiego muru, który zamyka mu drogę, — i spotyka się z nową ciekawością. Zanim zapuścił się w podziemie na zwiedzanie mieszkań pierwotnego miejscy tych człowieka, oko jego widziało w oddali jakoby górę nieregularnych kształtów — górę ruin, mającą z jednej strony mur, zbudowany z kamieni i przypominający tak ich kolorem, jak sposobem ciosania jedną ścianę rzymskiego Kolizeum. Mur ten, niesłychanej wysokości, stoi już sam jeden tylko po nad stosami gruzów greckich i rzymskich budowli, jak to poznać można ze szczątków. Już przecież i jego wierzchołków ima się zniszczenie, ząb czasu zaczyna go już gryźć od góry, gdzie się szerbi i zwolna rozspina, aby zmieszać się kiedyś z ruinami, których był strażnikiem przez wieki niedające

się już obliczyć. W ruinach, których przecież strzeże jeszcze i które zasłania, zamieszkuje dotąd człowiek. Beduini, dzikie, drapieżne plemię, gnieźdzące się tu od wieków wraz ze stadami swemi kóz i wielbłądów, wydeptało pomiędzy ruinami ścieżki — drżyny wijące się pomiędzy zwaliskami. Nie budując sobie wcale domów własnych, na które obfity materiał leży tuż pod ręką, zamieszkują oni ruiny, korzystając z kolumn jeszcze stojących, na których opierają terrasy. Ruiny świątyni rzymskiej zajmuje szejik pokolenia.

Znajdują się tu także zwaliska kościoła katolickiego w stylu gotyckim z epoki Krzyżowców. Arabowie dali temu miejscu nazwę: *Skala rozbita*, w kronikach Wojen Krzyżowych zwanem ono było *Castel peregrino* — *Zamek pielgrzymów*, którzy niewątpliwie znajdowali tu uchronię i odpoczynek wśród murów, jeszcze nie tak, jak obecnie, przegrzanych zębem czasu. Ruiny te odległe są o pół dnia drogi wielbłąda wzdłuż brzegów morskich od Cezarei, wspaniałego, według kronik, grodu Heroda, gdzie dziś mieszkają licznie — szakale. Mury otaczające miasto, a które dźwignął niegdyś z gruzów Ludwik Święty w czasie drugiej wyprawy krzyżowej, stoją jeszcze — trzymają się jak placówka zapomniana, nieściągnięta z posterunku warty swojej, która nie ma już strzedz czego. Przybywają tu tylko z promienia odległości blisko milowej górale Arabcy, aby poić trzody u niezasypanych jeszcze gruzami studni. W Cezarei-to Paweł Święty został wtrącony do rzymskiego więzienia i bronił się przed Agryppą z zarzutu bezbożności. Obecnie w dzień, gdy gorące promienie rozgrzeją kamienie zwalisk, igrają wśród nich jaszczurki, w nocy wyją szakale.

W niedalekiej ztąd odległości znajduje się starożytne miasto, a raczej ruiny starożytnego miasta, Apolonii. Przebywszy dwie rzeki, zwane przez Arabów Nahr-el-Arsuf i Nahr-el-Petrus, podróżnik przybywa na koniec do Jaffy. Miasto dźwiga się bardzo malowniczo ponad morzem, które oblewa mu stopy, rozbijając się spienionymi bałwanami o skały, zamykające port jego. Dla przybywających od strony pustyni — od północy, przedstawia ono widok rozkosznie wdzięczny wśród otoczenia ogrodów, któremi pokryte są wały. Jest to jakby jeden gaj palm granatów, cedrów nadmorskich, pomarańczowych, cytrynowych drzew; powietrze jest też jakgdyby samą wonią. Kto tu przybywa w porze kwitnienia drzew cytrynowych i pomarańczowych, widzi ziemię usianą kwiatami ludzającymi wzrok pielgrzyma z północy, że to śnieg jest, spadły świeżo. Fontanny tureckie, zbudowane w stylu wschodnim z mozaiki różnokolorowego marmuru, przedstawiają wędrowcowi, aby się ochłodził i pokrzepił, kubki miedziane, zawieszone na łańcuskach. Miasto, jak wogóle na Wschodzie, okazuje zdaleka białe mury, terrasy i ganki stylu mauropyńskiego, występujące z „oceanu wonnych krzewów” — jak się wyraził poetycznie Lamartine, który także od tej strony zbliżał się do niego. Rysuje się ono przed okiem podróżnika na tle białego piasku, gdyż tuż poza jego obrębem rozciąga się naga przestrzeń pustyni, oddzielająca Palestynę od Egiptu.

Jaffa posiada jeden z najstarożytniejszych portów świata, a podanie czyni miejsce, na którym miasto się wznosi, sceną przedpotopowej jeszcze tragedii, bo tutaj-to miał Noe zbudować arkę przysiężną. Tutaj przybywały też morzem owe cedry Libanu, których Salomon zapragnął na budowę świątyni. Ludwik Święty uczynił cud wskrzeszenia, uczynił Jaffę miejscem obronem, a w 1799 r. Napoleon wziął miasto szturmem i wyciął załogę turecką. Obecnie zamieszkuje je ludność mieszaną: Arabowie, Turcy, Armeńczycy, Grecy, Maronici i starej tej ziemi dziedzice — Żydzi. Każde z wyznań chrześcijańskich ma tu świątynię swoją. Starożytny kościół i klasztor katolicki liczy się do rzędu najwspanialszych gmachów miasta.

W ostatnich czasach przedsięwzięto budowę drogi żelaznej z Jaffy do Jerozolimy i gdy to faktem się stanie, niezmiernie wzmoże

się liczba pielgrzymów, a Jaffa ze swoim rozkosznym klimatem, ze swemi niezrównanej piękności krajobrazami lepiej poznana zostanie. A co za oddech dla piersi! z jednej strony morze, z drugiej pustynia. —

Widok, jaki przedstawiają oczom kostiumy zmieszanej tu ludności różnych plemion, pociągają mogą i przykuć do siebie oczy artysty. Obok Beduinów, przybyłych z okolic Jerycha lub Tyberyady w białych burnusach, ukazuje się Armeńczyk w długiej szacie w pasy białe i błękitne, Żydzi ze wszystkich krańców świata, przeważnie w czarnych opończach, agowie tureccy w zawojach, z kindzałami za pasem, na ognistych koniach, z orszakiem Arabów i czarnych niewolników — wszystko to miesza się ze sobą, gdy pielgrzymi greccy, którzy przybywają tu kompaniami całymi, siedzą po placówkach i rogach ulic, posilając się ryżem, kraszonym oliwą, który jedzą drewnianymi łyżkami z drewnianych miseczek. Kobiety judzkie zwykle dźwigają ciężary na głowach, dzieci mieszczą w koszach, zawieszonych po obu bokach osłów, stąpających powoli po stromej i kamienistej drodze. Trzeba być na Wschodzie, aby zaprzeczyć twierdzeniu, że osioł jest głupi. Nie... jest on przeciwnie tylko bardzo pracowity i cierpliwy, za to bardzo uparty, gdy nadużywają jego dobroci, co bynajmniej głupota nie jest.

Ramla, to jest Rama Pisma Świętego, otoczona lasem oliwnym drzew starych i tak grubych, jak nasze najpotężniejsze dęby, leżąca na gruncie Pokolenia Efraimowego, bywa zwykle pierwszym odpoczynkiem podróżnych na drodze z Jaffy do Jerozolimy. Jest tu klasztor łaciński, założony przez Ludwika Dobrego, księcia Burgundyi, są klasztory greckie i armeńskie, które przyjmują i wspierają pielgrzymów swoich wyznań. Dzień cały drogi konnej zabiera przebycie równiny Ramy i tu grunt podnosi się już stopniowo, faluje, a przed oczyma podróżnika rysują się na szczyty łańcucha gór Judei. Na granicy ziem, niegdyś pokolenia Efraima i Benjamina, u studni zwanych Jobowemi, rozkładają się zwykle podróżni obozem na nocleg, z którego nazajutrz wyjeżdża się zwykle świtanem. Droga wiedzie już wciąż przez wązkie, skałami otoczone dolinki i wąwozy, a wszędzie panuje tu Arab, rozbójnik przez instynkt dziki, podobny do drapieżnego ptaka, który nie utrzymałby się w stanie swojskim i zginął z głodu, nie mogąc polować na łup, który jedynie karmi go smakowicie. Dolinę Jeremi przebywa się pod strachem spotkania z temi krogulcami, mając wciąż przed oczyma i na wszystkie strony widoki malowniczości, trudnej do opisanie — malowniczości wschodniej, gdzie dzikość ponura miesza się nieustannie z obrazami niewymownego wdzięku. Do najwznioślejszych widoków drogi, wiodącej tędy podróżnika, należy głęboka wśród skał czarnych dolina, gdzie, według podania i wskazówek Biblii, odbywała się owa bitwa Saula z Filistynami, w której Dawid zabił Goliata kamykiem. Podróżnik patrząc na strumień, płynący w głębokim łożysku skalistym, a którego brzegi usiane są odłamami głazów, zdaje się widzieć miejsce, gdzie podniósł on ów kamyk, zwalający z nóg olbrzyma. Znajduje się tu teraz u wejścia do doliny wioska arabska, a dalej w głębi i klasztor Ś-go Jana Chrzeciela, gromadzący ascetów, chcących przebywać wśród tej dzikiej natury samnasam z duchem swoim i wielkim cieniem Boga, padającym tu może najuroczyściej w wielkości swojej wśród milczenia, niezmaconego przez żaden odgłos zewnętrznego świata. Klasztor ów przytula również starców, niegdyś proboszczów po różnych parafiach Ziemi Świętej, dożywających tu dni swoich w ciszy i spokoju. Przysyłają tu także nowicjuszy, przybywających z Europy, dla kształcenia ich na kapłanów, jakich tu potrzeba według właściwości prac i obowiązków miejscowych. Winnice, wydające bardzo dobre wino, okrywają tu stoki gór i wzgórz, podatnych do tego i klasztor ten, przez jedną tylko stronę swoją może być uważany za pustelnię. Mnóstwo Arabów ciśnie się tu zawsze po lekarstwa i zadowolenie różnych innych potrzeb swoich, a cokolwiek można mieć przeciw nim — przeciw ich

dzikości i podstępności, furta zewnętrznej bramy klasztoru odmyka się dla nich zawsze, bo takim jest, takim być powinien obowiązek sług Chrystusowych w tem miejscu. Lud ten, chciwy i przebiegły, rozbójniczy, cywilizuje się, uszlachetnia przez zetknięcie się tu z oświatą europejską a głównie i przede wszystkim z prawami moralności chrześcijańskiej. Nie ginie nic w naturze — jak ziarno rodzące zaniesione wiatrem w pustynie, padłszy gdzieś między złomy głazów, puszcza kielek i wyrasta w drzewo, które daje początek oazie, tak tu sam widok klasztoru i samotników żyjących wśród jego murów musi działać na wyobraźnię i pociągać myśl, skierowywać ją w stronę inną życia.

Podróżnik, który opuści klasztor Świętego Jana Chrzciela o pierwszym świecie jutrzeńki, a wsiadłszy na wypoczętego konia i jadąc wciąż, nie zatrzyma się u ruin starożytnej fortecy — obronnego grodu i razem grobu wielkich mężów historii żydowskiej — Machabeuszów, o samym wschodzie słońca może przebyć jedną z wyższych gór, leżących na jego drodze, a gdy o dniu już pełnym dostanie się na drugą, otworzy mu się nagle przed oczyma widnokrąg szeroki i oczy jego ujrzą Judeę — ujrzą w blaskach słońca jakieś błyszczące odbicia, jakieś kształty wież, niby strzały minaretów, kopuły i mury — zobaczy Jeruzalem od tej strony gdzie ze wzgórz, które zajmuje, spuszcza się w dolinę, rysując się matowo złotą barwą na błękitnem tle nieba i ciemnej ścianie Góry Oliwnej.

Obraz ten wymaga już ram własnych. Każdy podróżnik chrześcijański, całe kompanie pielgrzymów, ujrzawszy go, klękają na szczycie góry, z której się ukazuje oczom, i modlą się. Przystanek to jest potrzebny nawet dla podróżującego wyobraźnią, i my go czynimy.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu zacznie wychodzić wkrótce nowy tygodnik ilustrowany: *Życie Petersburskie*. Otwarta będzie tu wkrótce bezpłatna szkoła gymnastyczna dla dzieci niezamożnych.

— W Odessie urządzoną będzie w jesieni wystawa koni.

— Szkoła rzemieślnicza z warsztatami ślusarskimi, kowalskimi, stolarskimi, a nieco później z warsztatem introligatorskim, otworzy się wkrótce w Wilnie. Opłata roczna 25 rs. Otrzyma przy szkole całkowite utrzymanie 15 stypendystów.

— Dom sierot po robotnikach, otwarty w roku zeszłym przy ulicy Litewskiej, posiadał w chwili przyjęcia go przez zarząd od założyciela br. Leona de Lenval w d. 8 Lutego 1889 r. majątku 90.799. Obecnie jego kapitał żelazny wynosi 49.585 r., fundusz rezerwowy jest 1.836 rs. Dochodu miał w roku ubiegłym 4.905 rs. wydatku zaś 3.284 rs. więc z funduszu etatowych pozostało na rok następny rezerwantu 1.620 rs. W chwili otwarcia mógł zarząd przyjąć tylko 12-tu wychowanców, przecież zwiększenie się kapitału o 7.100 rs. pozwoliło na przyjęcie najpierw trzech, a potem dwóch jeszcze — razem jest w nim obecnie 20 wychowanców, dom posiada przecież miejsce na 60. Zgłasza się też wiele sierot, lecz brak fon-

duszków nie pozwala na ich przyjęcie. Wszelkie ofiary, tak w pieniądzu, jak w żywności, zarząd przyjmuje z wdzięcznością.

— Wystawa stała prób i wzorów została otwarta w Muzeum Przemysłu, dnia 1-go Maja. Do obecnej chwili wydzierżawionych i opłaconych na rok miejsc dla wzorów i prób handlu wywozowego jest 250. Mieści się to w pięciu pokojach i przedstawia dość ubogo. Okazy składają się głównie ze skór, butów, rękawiczek, wyrobów czmielowskich, pieców i kaffi, posadzki. Wyroby łódzkie bawełniane, wystawione w kioskach, jedynie wpadają w oko nieco pokazniej. Jestto przecież początek dopiero. Czas zwiedzania wystawy bezpłatnie jest codziennie od 9 z rana do 6 po południu.

— Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych wykazał w sprawozdaniu rocznym 62.681 rs. dochodu, wydatku 62.095 r. Kształciło się w Instytucie 165 głuchoniemych, 39 ociemniałych. Nauczycieli liczy zakład ten 56. Zgłosił się do zarządu Instytutu p. Ludwik Cybulski, mieszkając w Płocku, ofiarując dom swój, posiadany w tymże mieście z warunkiem, aby założono w nim szkołę na 24 głuchoniemych przychodnych, pochodzących z Płocka lub z Płockiego.

— Z Wystawy Towarzystwa sztuk pięknych i salonów artystycznych zakupił bawiący w mieście naszym Anglik, Crawford, okazów za 3.500 rs., które zaraz wysłał do Londynu. Towarzystwo rozdaje już między członków, jako premium za ubiegły rok 1889 chromolitografowaną reprodukcją obrazu Jana Rosena: „Przebieg wojska na Saskim Placu w 1824 r.“ Reprodukcy wykonana w Paryżu w zakładzie Lemeriera jest bardzo piękna. Nakład cały jest 6.000 exemplarzy.

— Andriolli został zaproszony przez angielskiego wydawcę, Warne, do ilustrowania londyńskiego wydania dzieł Coopera. Artysta ten już ilustrował dzieła tesame amerykańskiego pisarza dla wydania francuzkiego przez paryzkiego nakładce Didota.

— Konkurs „Gazety Radomskiej“ na opracowanie przedmiotu: „Jakie środki należy przedsięwziąć aby usunąć, lub ograniczyć nieszczęśliwe wypadki z dziećmi po wsiach i osadach i w jaki sposób zorganizować nad nimi opiekę“ — został odroczony do dnia 1-go Października z powodu, że nadesłano tylko trzy prace, i to drobne. Nagroda jest, oprócz zwykłego honorarium, 100 rs.

— Czytelnia bezpłatna w Radomiu jest jednym z tych zakładów użytku publicznego, za które mówi się założycielom ich: — Bóg zapłać! Rozwija się ona bardzo pomyślnie, liczy 1.300 dzieł różnej treści i 174 członków.

— Pod godłem pająka i jaskółki, sierpa i młota wychodzące tanie wydawnictwo dla ludu, wydało w ostatnich czasach sześć książeczek; siódmą jest świeżo wydana: *Chata za wsią*, (przeróbka z powieści Kraszewskiego). Osmą będzie: *Nasi przyjaciele i wrogowie wśród ptaków*. Między wyżej wspomnianymi sześciu książeczkami są dwie przeróbki z powieści Orzeszkowej: *Czarownica* (z Dziurdziów), *Chłopski adwokat* (z Nizin), w dalszym ciągu wydawnictwa, zasługującego na największe poparcie, wyjdzie książeczka skreślano na podstawie dzieł Taczanowskiego i Wodzieckiego: o ptakach pożytecznych i szkodliwych.

— Tanie wydawnictwo dla dzieci, książeczki po dwadzieścia groszy: „Powieści i Baśnie“ zebrane przez autorkę R. M. są przeznaczone dla dzieci klas niższych, miejskich, czy wiejskich. Pisane są z myślą uczciwą, językiem dobrym.

— W Pradze zaczęło wychodzić pożyteczne wydawnictwo „Strucny slovník pedagogický“.

— Wydział towarzystwa oświaty dla Galicji Wschodniej wykazał w sprawozdaniu swoim za rok ubiegły, że założono nowych bibliotek wiejskich 20 i czytelni 2. Poprzednio istniały staraniem Towarzystwa dwie biblioteki i 14 czytelni, razem summa dziełek wynosi 16.068 tomów. Majątek Towarzystwa przedstawia 3.675 zł. reń., zasiłek roczny, wyznaczany przez sejm, jest 300 zł. reńskich.

— W Krakowie zawiązała się filia lwowskiego Towarzystwa Przyrodniczego im. Kopernika.

— Kurtyna dla nowego teatru w Krakowie została wykonana i przedstawiona magistratowi przez malarza, Włodzisłusa Łuskiego. Widać na niej w górze poezję wprowadzającą do przybytku sztuki dramat bohaterski, komedya i tragedia, poniżej zaś geniusz składa wieńce poetom, dramaturgom i powieściopisarzom. Z jednej strony na tle architektury Stanisław August i Wojciech Bogusławski, jako założyciele teatru, za nimi Zabłocki, Krasicki, Trembecki, Niemcewicz, Karpiński, Węgieński, Bohomolec i malarz Bacciarelli; z drugiej Fredro, Wężyk, Korzeniowski, Syromkoma, Kraszewski, Mickiewicz, Słowacki, Żółkowski, Osiński, Feliński, Szujski, Anczyk, Moniuszko. Jako osoby charakterystyczne widnieją: Karol Radziwiłł i dama dworska, obok postać uosabiająca literaturę teatralną XIX-go wieku.

— Rada miejska krakowska uchwaliła powierzenie budowy teatru w Krakowie budowniczemu Zawiejskiemu, który miał za sobą na 51 głosujących, 33 głosy.

— W Berlinie odbędzie się w Sierpniu wystawa przyrodniczo-lekarska.

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem dla pp. artystów malarzy konkurs imienia Wojciecha Gersona na obraz historyczny (religia, historia, alegoria, mitologia), wykonany w ciągu trzech lat ostatnich i któryby nie znajdował się czy-to na wystawie Towarzystwa, czy na innej wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie, tudzież kompozycje autorów zmarłych na trzy lata przed 1 Stycznia 1891 roku.

Pragnący stanąć do konkursu winien nadesłać Komitetowi Towarzystwa przed 15 Grudnia r. b. deklaracyą w formie listu z wymienieniem tytułu obrazu, imienia i nazwiska i dokładnego swojego adresu. Obrazy winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniej dnia 30 Grudnia r. b. — Przed rozstrzygnięciem konkursu obrazy podlegają rewizji cenzury rządowej.

Autorem obrazu uznanego przez Komitet Towarzystwa, wspólnie z professorem Gersonem, za najlepszy otrzyma w nagrodę rubli sześćset. Obrazy nadesłane i przyjęte na konkurs pozostawiać będą na wystawie Towarzystwa przez tygodni sześć.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Kwiaty Zimowe. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya Zagraniczna (Poznańska). — Ruch muzyczny przez Juliusza Stättlera. — Z ziemi świętej (dokoń.) — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10 ty powieści, pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Przegląd mód.

Co jest modne.—Mantylki i kostiumy u pani Anny.—Sposoby układania włosów do niskich kapeluszy. — Nowo-otworzony zakład fryzjerski specjalnie damski pana Eugeniusza na rogu ulic: Wierzbowej i Kotzebue.

Wkrótce w całej okazałości zobaczymy na spacerach i w letnim naszym salonie tj. w ogrodzie saskim, całą modę tegoroczną, czyli to, co aż do jesieni bogini nasza „moda“ nosić nam przeznaczyła. Nie możemy nie przyznać, że moda tegoroczna jest pełna wdzięku, a w szczegółach i drobiazgach pełna wyszukania. Spódnice płaskie proste, obwijające niejako całą postać, lekko powłóczyście, nadają całej postaci pewien poetyczny powab. Staniki bardzo długie, rękawy wysokie i bufiaste,

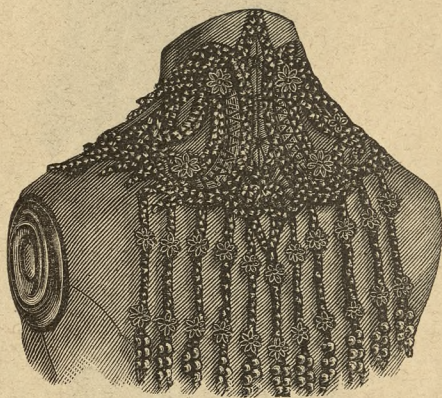
kratę najmodniejsze kolory, kraty się rozlewają nieznacznie a łagodnie zawsze kończąc na białem niby tle, a białosc ta jest białością kości słoniowej. Mantylki rozmaitych fasonów będą bardzo noszone tego lata głównie w ciepłe dnie, zawsze tylko z koronki, pasmanterii i jedwabiu. Kilka ślicznych modeli takich gotowych mantylek, pokazywano nam w znanym z praktycznej strony i nie wygórowanych cen w magazynie p. Anny, róg Marszałkowskiej i Próznej. Jedną z nich prześliczną miała wążutkie plecy z „faillie française“ jak teraz zowią dla odróżnienia zapewne od wyrobów niemieckich, w dalszym ciągu plecy wraz z rękawami takimi, jakie u mantyli być mogą, były z pasmanterii, z przodu wążutecznie, zwężone ku dołowi, do szpica suto zagarniowane koronką, bardzo suty żabot, w ogóle całą otaczała koronka. Inna była jedwabna w atlasowe pasy, przodu niby w dole zmarszczone i zakończone karkadą, koronki i wstążka zdobiły całą, śliczne były okrągłe z falban koronkowych, przyszytych do karczka spiczastego z pasmanterii. Takie same robią się wełniane piaskowe lub czarne o 2 falbanach wycinanych w ząbki już bez karczka z pasmanterii.

Wiemy, że magazyn pani Anny ma specjalność gotowych kostiumów; musimy więc opisać niektóre z nich, które praktycznością i dobrym gustem zwróciły naszą uwagę, kostium z lekkiej wełny w paski ciemnego koloru rezedy, stanik cały marszczony niby bluzka, karczek marszczony z przodu i z tyłu, rękawy w górze buffa, dalej marszczony. Na spódnicy z tyłu draperya niby związana, kostium taki jest w cenie 25 rs. Drugi koloru Eifel był z mohairu, przód cały to jest u stanika zamiast kamizelki i cały przedni bryt jed-

wabny w drobne zakładki, stanik na krzyż buffa u rękawów jedwabna, dalej wełna. Śliczna była czarna wełniana, od pasa naszyta pasmanterią kształtu wieży Eifel na 15 cent. długą, z przodu w dole także pasmanterie naszyte. Przód stanika zdobi pasmanteria, na którą zachodzi jedna strona zmarszczona. Oryginalne były rękawy, ramiona stanika w około były zmarszczone, co się dalej powtarzało na rękawie bufiastym marszczonym. Jeszcze jeden był na tle dzikiem w granatowe kwiaty, stanik cały marszczony ujęty w szeroką klamrę, bluzka z koronki kremowej uzupełniała stanik. Do tych wszystkich kostiumów są zastosowane kapelusze duże słomkowe, z których jeden ze słomy bladego heliotropu koloru zdobiło ogromne tegoż koloru pióro położone na przodzie ronda, w tyle dwa mniejsze wszystkie cieniowane.



Nr 1. Przybranie do stanika z pasmanterii wełnianej. (Deseń i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 30—32).



Nr 3. Przybranie do stanika z pasmanterii z perełek (część tylna do ryciny Nr 2).



Nr 2. Przybranie do stanika z pasmanterii z perełek (do ryc. Nr 3).

oto szkice tegorocznych kostiumów, a jakie piękne materiały, jakie kolory urocze! Fulary są nadzwyczaj modne tego roku, głównie w duże desenie, widzieliśmy u pana Makowskiego modny fular, na tle jasno - granatowym gałęzie kwitnących wiśni, o które wiele wstążek używa się do ozdoby sukien jedwabnych; do czarnych jedwabnych lub koronkowych, wstążki ślicznie robią efekt. Jedwabne materye są w pasy lub duża



Nr 4. Przybranie stanika z pasmanterii.



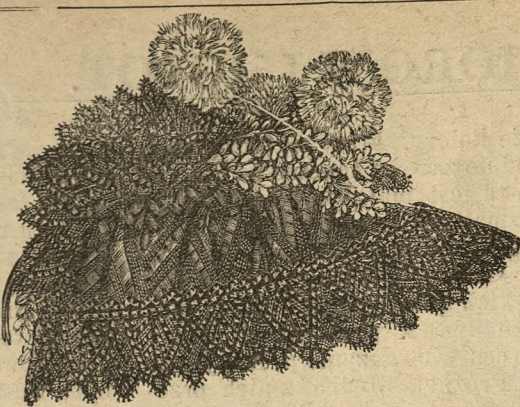
Nr 5. Przybranie stanika z pasmanterii.

Z powodu mody niskich kapeluszy z konieczności wypadło zmienić sposób czesania głowy, a ponieważ na piętrzącej się fryzurze żaden z dzisiejszych kapeluszy pomieścić się nie może, przyjęto ogólnie sposób czesania „à l'anglaise“ najskromniejszy, jaki być może. Sposobów takich jest dwa, pierwszy znany — skrócone lub splecione włosy ułożone w tyle nisko; drugi, wszystkie włosy zebrane razem zczesane ze skroni, lekko falujące i spadające wolno, spięte końcami wierzchołku głowy małym sztylkiem retowym

grzebykiem. Wsze kie kwiaty lub ozdoby przypinają się płasko

Gdy mowa o czesaniu włosów, mimo woli przychodzi na myśl pan Eugeniusz, znany nam wszystkim z genialnego rzecz można układowa koafur, — otóż miło mi donieść czytelnikom Bluszczu, że pan Eugeniusz otworzył w tych dniach specjalny zakład fryzjerski damski, przy rogu ulicy Wierzbowej i Kotzebue na 1-em piętrze. Mając na względzie wygodę naszą urządził 2 salony do czesania na miejscu, poświęcając poobiednie godziny czasu swego czesaniu na mieście. Choć, teraz wiosna, mniej więc potrzebować będziemy jego zreczności, w każdym razie zakład taki jest nowością dla Warszawy, z serca życzymy mu więc powodzenia.

Z przyjemnością zaznaczamy tu, iż na ostatniej wystawie rzemieśniczej w Muzeum przemysłu, z działu mody, fabryka gorsetów firmy „Marie“ Niecała Nr 1, została nagrodzona medalem srebrnym najsprawiedliwiej, gdyż fabryka powyższa jest bez zaprzeczenia dziś pierwszą pod względem wykonania i fasonów w Warszawie, drugi srebrny medal z działu mody otrzymała panna Bronisława Popielewska za gipiury dziś tak bardzo w użyciu będące, rozwinęła fabrykacy, których Warszawa od lat dwóch zawdzięcza p. Popielewskiej, niezmordowana bowiem wytrwałością prowadzi szkołę i pracownię gipiur przy ulicy Grzybowskiej Nr 15, a wyroby jej na każdej wystawie odznaczone bywają medalami i dyplomami, ileż to pieniędzy zostanie w kraju tym sposobem; zawsze inicjatywę



Nr 6. Czepeczek z koronki i wstążki.



Nr 7. Czepeczek z koronki i wstążki.

Nr 8. Kapelusz z koronki i tiulu.



Nr 9. Kapelusz z pereł.



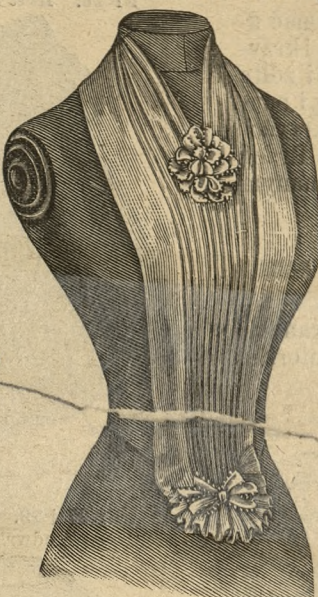
Nr 15. Parasol ik.



Nr 10—14. Przykłady do letnich kapeluszy.



Nr 16. Parasol ik.



Nr 17. Kołnier z napierśnikiem.

Nr 18. Napierśnik z gazy jedwabnej.



Nr 19. Suknia z materiału wełnianego „diagonal“ (do ryc. Nr 24).

tego przemysłu zawdzięczamy pani Gabryelowej. L. C.

Szkatuleczka ozdobiona robotą szydełkową.

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 18.

Szkatuleczka wykonana z precyków trzcinowych, wyklejona wewnątrz atłasem koloru ponsowego, część wierzchnia wykonana szydełkiem krętymi niemi szarimi. Sznureczki sznelowe i pompony wykończają całość.

Pelerynka z kapturkiem (robotą szydełkową).

Rycina Nr 23 i 24 w Bl. Nr 18. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 69).

Peleryna z czarnej zefirowej włóczki, częścią ściśłym, częścią przezroczystym ścięciem, złożona z karczka i falbany. Przez kołnier przewleczone jest wstążka 3 c. szer., której końce wiążą się z przodu na kokordę. Taką wstążką przewleczone jest przez przezroczystą koleję koronki, która pokrywa połączenie karczka z falbaną. Robotę należy rozpocząć od karczka, którego formę złożoną przez pół przedstawia fig. 69. Wykonawszy założenie według miary szyi, tudzież koleję powrotną, należy wykonać koleję 1:



Nr 21. Suknia spacerowa z sukna i aksamitu. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 22. Suknia z wiganii. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 23. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 20. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty (do ryc. Nr 25). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 33—41.

Oczko opuścić, potem ciągle 1 ściś. o. w każde o. — 2 kolej: 1 pow. o., potem ciągle 1 ści. o. w przednią żyłkę następnego o. Powtarzać ciągle koleję poprzednią, ale stosownie do kroju należy ocz. przybierać, na co w odpowiednich odstępach zamiast 1 ści. o. wykonywać 2 ści. o. w 1 o. Dolny brzeg otoczyć koronką jak następuje: 1 kolej: po stronie odwrotnej, ciągle na przemian: 1 ści. o. w następ. o., 5 pow. o., 1 o. opuścić (koleję ta służy do przewleczenia wstążki). 2 kolej: 3 pow. o., potem ciągle na przemian 1 ści. o. w środkowe 5 pow. o., 2 pow. o., następnie 1 sł. w 1 ści. o. tejże kolei. — 3 kolej: 1 pow. o., potem ciągle 1 ści. o. w każde o., nitkę umocować. — 4 kolej: powracając 2 ści. o. w następ. 2 o., potem ciągle naprzemian: 2 pow. o. w drugie i trzecie następne o. — 5 kolej: robotę odwrócić: 3 pow. o., potem ciągle 4 pół słup., których dwa środkowe przedzielone 3 pow. ocz. w następ. 2 pow. o. — 6 kolej: powracając na poprzednich o. 1 ści. o. w pierwsze 3 pow. o., potem ciągle naprzemian: 6 słup., z których dwa środkowe przedzielone pikotem (czyli 3 pow. o. i 1 ści. o. w poprzedni sł.) w następ. 3 pow. o., 1 ści. o. w następ. 3 pow. o. — Kapturek wykonać na założeniu 104 o. tam i napowrót 35 ko-

Nr 25. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty (do ryc. Nr 20). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 33—41.



lei takimże deseniem, w każdej zaś drugiej z rzędu kolei, środkowe 3 ocz. razem przerabiać. Następnie oczka założenia złożyć na połowę, połączyć oczka dwóch połówek ścięciem obrzucanym wyjąwszy pierwszych i ostatnich 15-u ocz., brzeg zaś zewnętrzny oprócz górnego otoczyć 3-ma kolejami jak 4 koleję do 6-ej koronki. Następnie wyłożyć rogi jak wskazuje ryc. Nr 24 i przybrać karkadą. Oczka ostatniej kolei połączyć u wycięcia szyi z karczkiem i wykonać tamże 2 koleję jak 1 i 2 kolej koronki. — 3 kolej: ciągle naprzemian: 3 pow. o., 1 ści. o. w następ. 2 pow. o. — 4 kolej: ciągle naprzemian: 5 sł. w środkowe o. następ. 3 pow. o., 1 ści. o. w środkowe następ. 3 pow. o. Co do falbany wykonać naprzód gęsty pas w poprzek na założeniu 18 o. tam i na powrót podług deseni karczka (w oryginale 246 kolei), ale po stronie górnego brzegu w 4 kolei i jeszcze 2 razy w każdej 4 z rzędu kolei przybierać po 1 o., w ostatnich zaś 12 kolejach w temże samym miejscu należy ujnować. Dolny brzeg szlaku otoczyć koleją tam i napowrót jak następuje: 1 kolej: ciągle 1 ści. o. w każde z rzędu ocz. — 2 kolej: ciągle na przemian: 2 pow. o., 2 ści. o. w 2 i 3 z rzędu o. — 3 kolej: ciągle 4 pół sł., których 2 środkowe przedzielone 2 pow. o. w następ. 2 pow. o. — 4 do 15 kolei jak koleję poprzednią. Górny brzeg falbany, połączyć z ostatnim rzędem ściś. o. ścięciem obrzucanym. Otoczyć przedni brzeg peleryny 2 kolejami jak 1 i 2 kolej falbany, poczem 1-a koleją jak ostatnia koleję koronki i taką samą koleją wykończyć dolny brzeg falbany, ale zamiast 6 słupków wykonywać 8 słup.

Nr 24. Suknia z materiału „diagonal“ (do ryc. Nr 19). Opis pierw. str. tabl. 2

Serwetka na stół ogrodowy. Ścieg płaski i robota krzyżowa.

Rycina Nr 26, 27 i 21 w Bl. Nr 18.

Serwetka 155 c. dług. a 122 c. szer. wykonana na pasach z tkaniny „Jawa“ połączonych z sobą. Pas środkowy 31 c. szer. na tkaninie żółtej, boczne 15½ cent. szer. na tkaninie koloru niebieskiego, dwa następne po 31 c. szer. na tkaninie koloru ponsowego, ostatnie zaś koloru żółtego 15½ c. szer. Trzy pasy szerokie podług ryc. Nr 27, ozdobiona ścięciem płaskim, rozmaitego koloru bawełną, na żółtej tkaninie ponsową i niebieską, na ponsowej niebieską i żółtą. Na szwach łączenia wykonać figury, odług ryc. Nr 21, ścięciem płaskim i krzyżowym. Na pasach niebieskich ponsową i żółtą bawełną, na ponsowych żółtą, niebieską i ponsową. Pomiedzy figurami wykonać haft krzyżowy naprzemian bawełną niebieską i żółtą. Brzeg zewnętrzny otoczyć szlaczkiem wykonanym szydełkiem grubą niebieską bawełną.

Przybranie stanika z pasmanterii z pereł.

Rycina Nr 2 i 3.

Przybranie wykonane z pereł szlifowanych i jedwabiu. Tylina część w kształcie kołnierza, przednia, otacza kamizelkę podług ryc.

Przybranie stanika z pasmanterii z pereł.

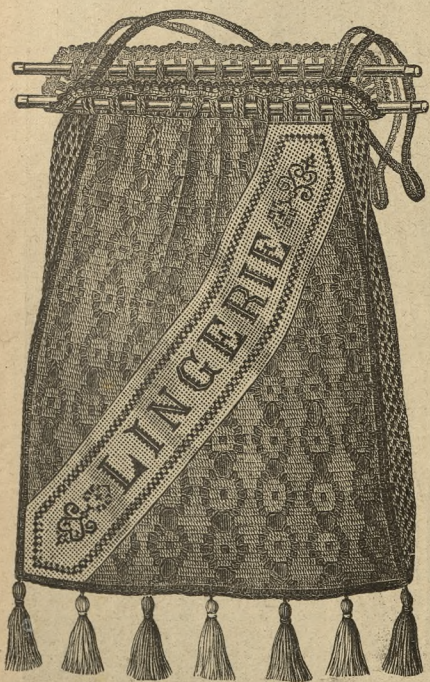
Rycina Nr 4.

Przybranie tworzy hiszpański kaftanik, wykonane jest ze sznureczka jedwabnego i pletni z pereł, figury płaskie i w kształcie gwiazd wypełnione pajęczkami i ścięciem koronkowym z jedwabiu. Grelotki z pereł i jedwabiu.

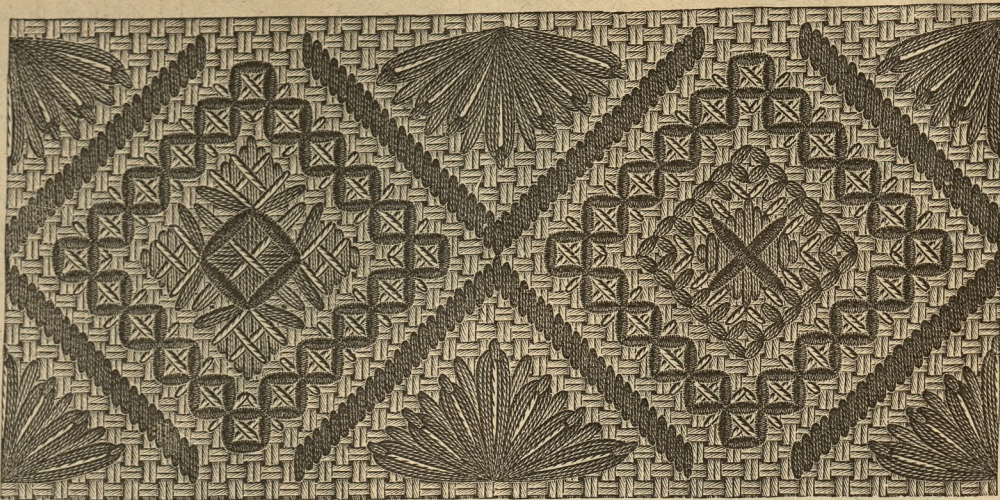
Kapelusz z tiulu i koronki.

Rycina Nr 8.

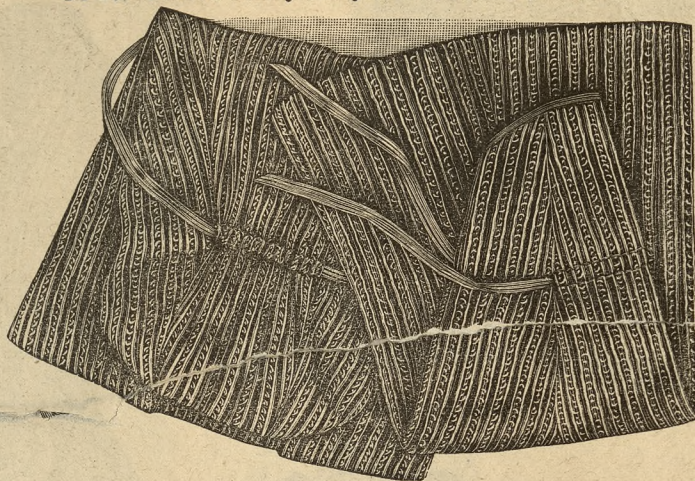
Kapelusz formą tak zwaną „Bolero“, z główką 6 c. wys. i z rondem 9 c. z przodu a 2 c.



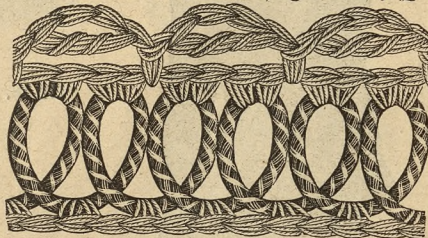
Nr 33. Worek na brudną pieliznę (robota szydełkowa i ścieg krzyżowy).



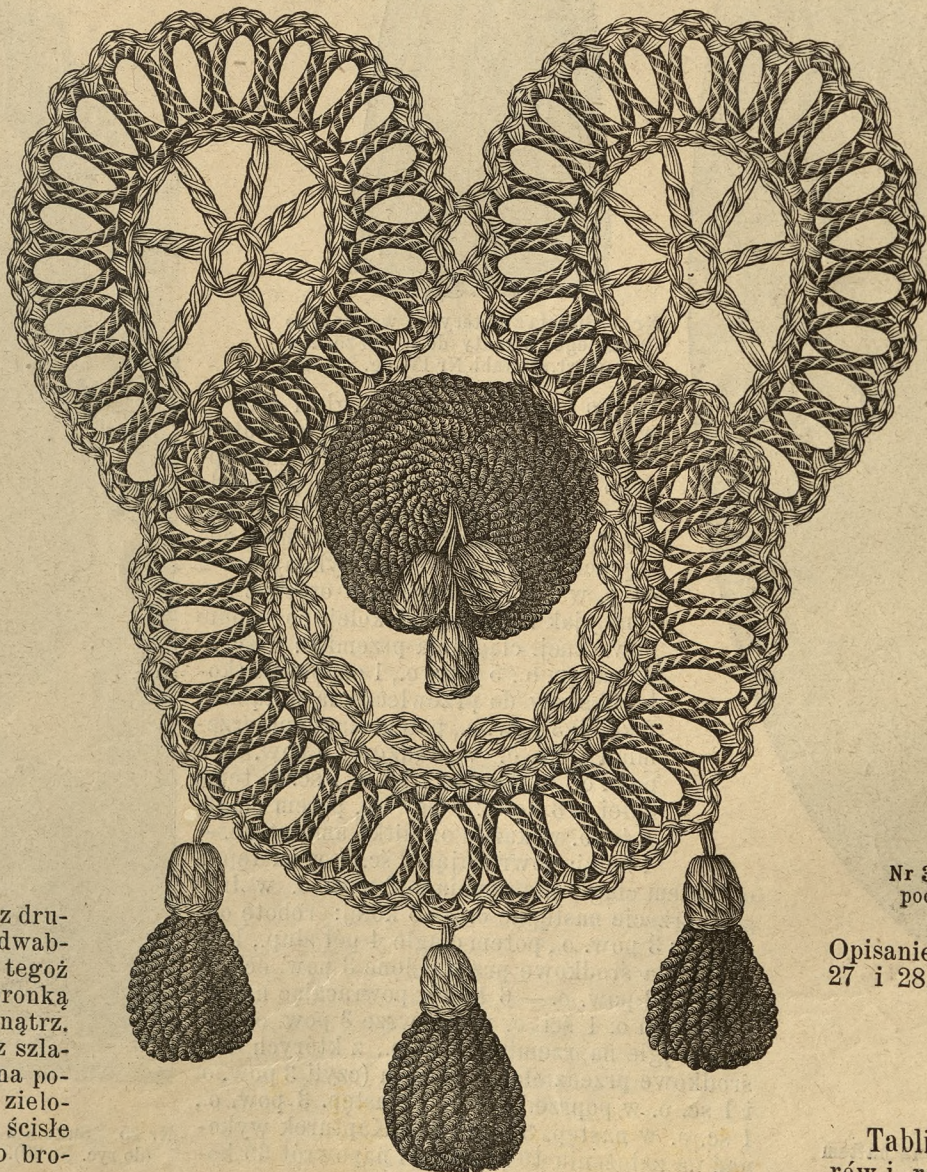
Nr 26. Haft do ozdoby koszyka Nr 34 (zmniejszony).



Nr 27 i 28. Fartuszek do gospodarstwa. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 60—61).



Nr 29. Znak haftowany. Nr 31. Szlak wykon. szydeł. do koszyka Nr 34 (wielk. natur.). Nr 30. Znak haftowany.



Nr 32. Ząb do ozdoby kosza Nr 34 (robota szydełkowa, zmniejszona).

Kapelusz z pereł.

Rycina Nr 9.

Kapotka w rodzaju toczka Foremka z druciku obszyta czarnym tiulem i pokryta przezroczystym denkiem z czarnych perełek nawlekanych na drut. Takież sam szlak z perełek otacza brzeg wewnętrzny przybrany krepą białą przewiązwaną sznurkiem z czarnych perełek. Czarna aksamitna kordka i bukiet białego bzu wykończają całość podług ryciny.

Przepisy gospodarskie.

Wyborna wódka premiowana na wystawie w Muzeum Przemysłu.

Kwartę spirytusu 90 próby, butelkę winę węgierskiego w cenie rs. 1 kop. 50, kieliszek śliwownicy wlać w gąsiorek, 2 łyty chleba świętojańskiego, 1 łyt herbaty, 4 łyty cukru, zagotować razem w półkwarce wody, nalewając zimną, a po wystudzeniu przefiltrować przez szwecką bibułę, wymieszać z winem, spirytusem i śliwownicą i zostawić w spokojności najmniej na 3 miesiące. Wtedy dopiero wiać do użytku a będzie wyborna.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Ozór solony z chrzanem.
3. Groszek ziel. z konserwą.
4. Makaron zapiekany z parmezanem.
5. Pieczeń barania z salata.
6. Tort provençe.



Nr 34. Kosz do papierów. Robota szydełkowa, pocztowa i haft płaski (do ryc. Nr 26, 31 i 32).

Opisanie rycin: Nr 6, 7, 10—14, 15, 16, 17, 27 i 28, 33, 34, 26, 31 i 32 w przyszłym numerze.

UWAGA

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do numeru 20.